Nr. 2. Warszawa, dnia 30 Grudnia 1895 r. (11 Stycznia 1896 r.) Rok XVI.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ROK 1895.

Rok ubiegły, otrzymawszy od poprzednika swego nieukończoną jeszcze wojnę Japonii z Chinami, sam żadnej nowej a większej do niej nie dodał; ale na kartach swoich nie omieszkał zapisać licznych powstań, krwawych rozruchów, a obok nich rzezi, morderstw, gwałtów i podstępów — wszelkich wybuchów zwierzęcego egoizmu, nad którymi daremnie mędrkują filozofowie, a sercem więcej niż rozumem przemyśliwają przyjaciele ludzkości. Ale niepoprawny pod względem sposobu wywierania swej energii, duch dziejów i w tym ubiegłym roku zaświadczył o sobie, że się nad zwierzęcość wzbić umie; wiele szlachetnych popędów, rozumnych urządzeń, czynów miłości bliźniego promienne blaski swe rzuciło w pasmie jego dni na krwi kałuże, bagniska fałszu i legowiska wiecznie dyszącego gwałtu. Spokojna praca cywilizacyjna, wtłaczająca w rojowisko ludzkie światło i braterstwo, potęgująca wiedzę i podbijająca pod władzę jej naturę w człowieku i po za człowiekiem, postępowała równolegle z niszczącą robotą owego ducha dziejów. Sama cicha, wypadkami swymi zajmowała tylko wybranych. Mając świat swój własny, wspaniały i jasny, na świecie objawów ponurych a krzykliwych i dla szarych mas ludzkości pochwytnych — była jakby utajona w nicość.

Nowy rok 1895 zastał japońskiego generała Nodsu, następcę dzielnego Jamagaty w okolicach Hai-czengu, na drodze do Niu-czuangu, wielkiego miasta chińskiego nad zatoką Peczyli. Z powodu słabości sił, okopawszy się na pozycyi, d. 17 stycznia odparł generał japoński atak Chińczyków, którzy już odtąd silniejszego oporu stawić mu nie zdołali. W marcu dotarł do strategicznego swego celu, ale stosunki polityczne nie pozwoliły mu już iść dalej, aby przy współdziałaniu floty przedostać się za Palisady i uderzyć na prowincyę cesarską Czyli. Posiadając już Port Arthur, zdobyty d. 21 listopada 1894 r., Japończycy w styczniu zapragnęli posiąść przeciwległą prawie twierdzę z arsenałem, Wei-hai-wei, w prowincyi Szantung. Po czterotygodniowem prawie obleganiu, d. 13 zajęli ten drugi Tulon chiński i tem dopiero złamali upór syna słońca. Już w początku roku po ciężkich klęskach na lądzie i morzu utracił on był nadzieję pobicia tych „psów japońskich" i starodawnym obyczajem wystosował do Tsung-li-Jamenu, najwyższej rady rządowej, odezwę, w której przyznał się do shańbienia swych przodków. W środku marca był już zupełnie skruszony.

Li-hung-czang, wicekról Peczyli, jeden z nielicznych Chińczyków, z którym Europejczyk do ładu trafić może, pojechał do Japonii na układy. Nie miały one przerywać działań wojennych; ale gdy d. 24 marca na pełnomocnika strony nieprzyjacielskiej jakiś patryota japoński wykonał zamach — zresztą nieszkodliwy, — mikado Mutsu-hito uniósł się wspaniałomyślnością i przystał na zawieszenie broni. W środku kwietnia, w tygodniu świątecznym po Wielkiej Nocy, stanęły preliminarya w Si(szy)monoseki na Niponie: Chiny płaciły 200 mil. taelów, wydawały półwysep Liao-tong z Portem Arthur, Formozę i wyspy Pescadores, wreszcie zapewniały wielkie korzyści handlowe. Ale robiono rachunek bez gospodarza, a pokazało się, że gospodarzem na dalekim wschodzie Azyi jest Europa. Chiny już w styczniu chwyciły się jej fartucha. Opiekunka z własnego wyrachowania zrobiłaby już to, o co ją warkocze chińskie błagały. Anglia, coraz niezręczniejsza i bezsilniejsza w polityce zagranicznej, stanęła na uboczu. W końcu kwietnia noty trzech mocarstw obcięły traktat w Simonoseki i tak obcięty dostąpił ratyfikacyi w Czy-fu d. 8 maja.

Według tych zmienionych warunków, Japonia zrzekła się przywilejów handlowych i ustąpiła Liao-tong Chińczykom, w zamian otrzymując wynagrodzenie pieniężne, którego wysokość, na 50 mil. jenów oznaczona, wydała się mocarstwom opiekuńczym zbyt wielką. Prawie do końca roku targowano się o cenę ustąpienia i nawet w ostatnim dniu jeszcze nie było pewności, czem się ten targ zakończył. Do czasu zapłaty trzymać mieli Japończycy twierdzę Port-Arthur, a raczej jej ruiny; d. 8 listopada podpisali konwencyę o ustąpienie, stali wszakże jeszcze w drugiej połowie grudnia. Chińczycy spłacają kontrybucyę, ale opieszale. Europa dała im aż trzy pożyczki: największej dostarczyła Rosya z Francyą. Na Formozie spotkała się Japonia z ruchem niby narodowym, a właściwie mandaryńskim; w maju narodziła się rzeczpospolita — chińska na Formozie! Flota i wojsko miały sporo do roboty, nim zdobyły Taiwan i wyparły dawnych posiadaczy w głąb wyspy. W końcu roku tlały już tylko niedopalone głownie.

Korea, o którą wybuchła była wojna i nadal pozostanie zarzewiem nieporozumień i niebezpieczeństw. Jeszcze ją Japończycy zajmują; ustąpić przecież będą musiały z półwyspu i ich karabiny i działa i ich wpływy polityczne. W przewidywaniu przyszłości zwycięzkie mocarstwo zbroi się z wielkim nakładem, pokrywanym z kontrybucyi.

Drugą sprawą, która nie zamknęła się w granicach jednego państwa, była bliższa jeszcze i powszechniej zajmująca Europę sprawa opieki nad Armenią i koniecznych dla niej ustępstw. W listopadzie jeszcze r. 1894 Kurdowie i Czerkiesi wy-

prawili rzezie w Sassunie. Długi czas nie wierzono w nie i wiadomości uważano za kłamstwa angielskie. Gdy wreszcie prawda wyszła na wierzch, komisya z konsulów europejskich i urzędników tureckich udała się w styczniu na miejsce. W marcu powróciła prawie z niczem, bo jej zaślepienie tureckie tamowało działalność; o krwawych gwałtach jednak nikt nie wątpił. Dnia 11 maja Rosya, Anglia i Francya wręczyły Porcie projekt reform armeńskich. Wielki wezyr, Dżewad, od r. 1891 na urzędzie, był im przeciwny i wręcz odmówił. Sułtan go oddalił, wziął sobie Mehemeda-Saida—„Małym Saidem“ zwanego — aby również jak przedtem nie nie dać, ale bez wyraźnej już odmowy. Przez lato zbywano dyplomacyę dobremi chęciami. Albion rwał się najgoręcej; ale mu Francya przez swego posła, Cambona, w czerwcu już zapowiedziała, żeby o żadnych wojennych lub zbrojnych naciskach nie myślał. Mały Said musiał wreszcie odpowiedzieć na notę majową. Mocarstwa, choć z niej niezadowolone, nie objawiły gniewu, a gdy w sierpniu sułtan dał amnestyę 300 armeńczykom, skazanym za to, że ich zarzynano, gdy Saidek nowemi obiecankami błysnął, dyplomacya zupełnie się udobruchała i postanowiła jeszcze dalej czekać.

Anglia nie odważyła się na demonstracyę floty w Dardanelach, choć wszystko do niej miała już przygotowane, i krępowana przez inne mocarstwa, czekała. Ale Armeńczycy czekać nie chcieli. Dnia 30 września przeciągnęli ulicami Stambułu przed Wysoką Portą z gotową petycyą. Policya z ludem tureckim już niedaleko od celu gwałtownie ich powstrzymała. Wywiązała się bójka, a z niej rzeź. Padł popłoch na miasto. Fanatyzm obleciał miasto na płomienistych skrzydłach. Przez cały tydzień panował teroryzm i gwałt krwawy. Postawa patryarchy. współczującego z rodakami, obostrzyła stan groźny.

Mordy stambulskie dały hasło do rzezi w samej Armenii: obie strony rzucały się na siebie, bez litości, bo z nożami. W Trapezuncie. w Akhissarze, Gemudżhadży, Bejburcie, Maraszu, Erzerumie mordowano się wzajemnie przez październik i listopad. Ruch przeniknął do Cylicyi, do głębokiej Syryi. nawiedził Djarbekir. a z drugiej strony Antiochię. Żywioł armeński najzaciętszym i najsilniej zorganizowanym do walki okazał się w warownym Zejtunie (Seitun) w Taurze: po rzezi w październiku wymordował Turków w warowni zajął ją, okopał się i w końcu roku jeszcze wytrzymywał oblężenie. Dyplomacya nakłaniała jednych do poddania się, drugich do zupełnego przebaczenia.

Manifestacya z 30 września zwaliła Małego Saida, i przyśpieszyła bieg machiny dyplomatycznej. Anglia zaczęła znowu przodować. Dnia 13 października mocarstwa działające powtórzyły żądania majowe i dopomniały się bezzwłocznej odpowiedzi. W trzy dni później sułtan podpisał już *irade*, coś, co jest dopiero poleceniem dla wezyra, nie jest zaś jeszcze prawem dla urzędników i dla poddanych. Nie sami tylko Armeńczycy, ale wszystkie ludy zażywające błogosławieństw pod berłem sułtana, mają z dobroci jego korzystać. Armeńczykom osobliwie przyrzekł Abdul-Hamid niby to, czego żądały mocarstwa (№ 24 „Prawdy). Działo się to już za wezyrowstwa Kiamila baszy. Miesiąc zaledwie cieszył się on swą władzą, bo zażądawszy jakichś praw, któreby opancerzyły wezyrat przeciw intrygantom dworskim, a głównie Izzetowi bejowi, dostał d. 6 listopada dymisyę. Sułtan zamianował wezyrem Halila Rifaata, a na ministra spr. zagr. sprowadził z Berlina posła, Tewfika. Obu ostatni dzień roku zastał jeszcze na urzędach.

Irade owo ma dotychczas tylko wartość papieru, na którym je spisano. Widząc na co się zanosi i dla nieprzerywalności praw z artykułu LXI Traktatu berlińskiego, p. Gołuchowski zaproponował ogólne wystąpienie wszystkich mocarstw traktatowych. Zgodzono się na nie i obecnie wszystkie już działają. Myśl demonstracyi zbrojnej, żywioną przez Anglię, popartą przez Austro-Węgry p. Nelidow ujął w postanowienie wyprowadzenia drugich statków wojennych służbowych na użytek ambasadorów. Sułtan znowu się opierał, mitrężył, wreszcie zezwolił. W środku grudnia już każdy poseł miał po dwa statki. I taki jest dotychczas dotykalny owoc zabiegliwości dyplomatycznej w Stambule.

STOSUNKI PARTYJNE CZECH.

I.

Przeprowadzone świeżo wybory do sejmu zakończyły się tryumfem tego stronnictwa, które już od lat kilku faktycznie reprezentowało większość społeczeństwa czeskiego. Młodoczesi odnieśli zwycięztwo na całej linii — i w kuryi posiadłości mniejszej, i w miastach, i w Izbach handlowo-przemysłowych.

Można się było tego spodziewać, śledząc uważnie rozwój życia politycznego Czech. Już w r. 1890 przeważna część okręgów wyborczych wiejskich i miejskich wysłała do sejmu młodoczechów. W roku następnym podczas wyborów do Rady państwa zwyciężyli oni prawie we wszystkich okręgach. Naród odwrócił się od swych dawnych kierowników i w ten sposób partya staroczeska utraciła cały swój wpływ. Wybory tegoroczne zadały jej cios śmiertelny.

Przyczyna zupełnej klęski tego stronnictwa tkwi w jego ciągłych niepowodzeniach na polu działalności parlamentarnej, w jego nawskróś oportunistycznej taktyce, wreszcie w nietolerancyi, którą okazywało względem swych współzawodników politycznych. Fakt nieprzyjęcia do klubu czeskiego pierwszych czterech młodoczechów mocno zaszkodził powadze partyi starych; od tego też mniej więcej czasu datują się niezwykłe postępy stronnictwa młodoczeskiego.

Partya staroczeska, czysto konserwatywna, ślepo ulegająca swemu przywódcy Riegerowi, nieposiadająca jasnego. określonego programu, nierozumiejąca i nieodczuwająca wagi zagadnień społecznych, ciągle się kompromitowała, stając po stronie rządu przeciwko szczuplutkiej garstce posłów młodoczeskich. Ci bardzo zręcznie potrafili to wyzyskać i stawiając w parlamencie wnioski, za którymi staroczesi w żaden sposób głosować nie mogli, zdyskredytowali ich ostatecznie w oczach wyborców.

Wciąż wzrastająca świadomość klas wyborczych i bliższe zaznajomienie się z kwestyami społeczno-ekonomicznemi, kazały młodoczechom włączyć do programu cały szereg żądań, o których staroczesi nie myśleli. Dzięki wpływowi t. zw. realistów (o których będziemy mówili dalej), program ten, ogłoszony 1891 r. w formie ode-

---

Urywek z dziennika.

I.

Schodziliśmy gromadnie ze schodów i w korytarzu już przeciął nam drogę biegnący do swego biura urzędnik. Znam tego młodzieńca, nie tyle osobiście, ile z nader sympatycznej opinii. Powitawszy go, skierowałem się za innymi do ubieralni, lecz gdym się obejrzał, z wielkiem zdziwieniem spostrzegłem jednego z naczelników na uprzejmej z nim pogawędce. Potrząsał mu ręce i tonem przyjacielskiej poufałości czynił wymówki, iż dotąd nie odwiedził go. Zdziwiło mię niemało, czego może chcieć ten wysoki urzędnik od człowieka, stojącego odeń o jakieś sto stopni niżej. Byłem tak podniecony i tak ze zwykłej kolei wyrzucony, że nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, zatrzymałem się i śledzić ich zacząłem.

— W sobotę zatem czekamy z herbatą — mówił naczelnik.

Młodzieniec, ogłuszony tym niespodziewanym zaszczytem, bąka coś niewyraźnie.

— A tymczasem — kończy tamten — przygotujesz mi pan ten papier.

Na twarz urzędnika wybuchają płomienie.

— No, no, nie odmówisz mi pan przecie — mówi naczelnik i ściska jego rękę. Widzę, jak ręka ta drgnęła i słyszę jednocześnie wewnętrzny głos młodzieńca, kołatający mu w piersiach z oburzenia. „Podłości chcesz — podłości wymagasz ode mnie!“

— Panie naczelniku — odzywa się jednak nieśmiało —istotnie, sam nie wiem...

— Wiesz, wiesz i zrobisz, nie chcę myśleć, gdybyś mi miał odmówić.

I słyszę przytem głos jego myśli.

„Nie możesz odmówić; ja wyrwałem cię z nędzy, gdy przychodziłeś do mnie o chleb powszedni kołatać, ja cię, jeśli zechcę, wyżej jeszcze i lepiej mogę postawić.“

A głos wewnętrzny młodego mówi dalej:

„Podłości żądasz ode mnie; ode mnie, com dotąd żadnego kroku ku nieprawdzie nie dał! Czarny jesteś i mnie za sobą w błoto chcesz ściągnąć.“

A głośno:

— Może czem innem mógłbym panu naczelnikowi służyć? W każdym innym razie jestem na rozkazy pana naczelnika.

— No, no, pomówimy o tem w swobodniejszej chwili — przerywa naczelnik i w głosie jego brzmi wyraźnie nutka niezadowolenia zwierzchnika.

Urzędniczek rozumie to. Robi mu się zimno i gorąco. Wszakże w tej chwili uprzejmej rozmowy ryzykuje dobrobytem swego gniazda, spokojem swojej młodej ukochanej żony, przyszłością małego syna... Wszakże jest on tylko skromnym, zupełnie nędznym pionkiem w ręku wysokiego zwierzchnika — i nadto jest muchą, złapaną we wszystkich ośmiu łapach pająka. Pot występuje mu na czoło, czu-

zwy wyborczej, sprawił jak najkorzystniejsze wrażenie i spotkał się z sympatyą mas ludowych. Żądania takie, jak głosowanie powszechne, reforma podatkowa, rozszerzenie wolności prasy i zgromadzania się, unarodowienie szkoły i czeskie prawo państwowe — zdobyły dla młodoczechów uznanie całego narodu i zapewniło im zwycięztwo. Mnóstwo wyborców, reprezentujących bardzo różne żywioły społeczne, zgodnie oddało im swe głosy, przypuszczając, że nareszcie, po długiej dobie działalności oportunistycznej stronnictwa staroczeskiego, znajdą się w parlamencie młode, świeże siły, które wymogą na rządzie spełnienie życzeń całego narodu drogą polityki opozycyjnej.

W istocie, na widowni parlamentarnej ukazały się te różne siły, które odrazu zajęły stanowisko opozycyjne, ale oto mija już pięć lat od czasu zwycięztwa młodoczechów, a działalność ich polityczna nie dodała literalnie nic do tego, co naród już uzyskał przedtem. Dopóki liczba ich posłów w parlamencie była bardzo nieznaczna, mogli jako zawzięci opozycyoniści wywierać najlepsze wrażenie na masach ludowych, ale skoro tylko ster polityki czeskiej znalazł się w ich ręku, natychmiast okazało się, że rola czynników samodzielnych w polityce państwowej przewyższa ich siły.

Wiele obiecujący program młodoczeski pozostał martwą literą, a wymowne oświadczenia i gromkie protesty deputowanych o włos nic zmieniły położenia narodu czeskiego. Pokazało się nawet, że wśród młodoczechów nie ma ani jednego utalentowanego polityka.

Właściwie młodoczesi prawie niczem się nie różnili od staroczechów pod względem przekonań polityczno-społecznych i realiści, pod których wpływem przyjęli do programu żądanie radykalne o charakterze społeczno-ekonomicznym, bardzo źle przysłużyli się kierownikom stronnictwa, młodoczesi, a przynajmniej większość ich, sami nie wiedzą, co mają począć z tak radykalnym programem. Rozumieją oni, że zadanie wzięli na swą odpowiedzialność. W rzeczywistości więc są takimiż samymi oportunistami, jak i staroczesi, a tu program każe im przedsiębrać kroki nader hazardowne. Przytem są oni tak leniwi i gnuśni, że prawie nic nie czynią, ażeby rozpowszechniać swe przekonania pomiędzy ludem. Tylko przed wyborami wre i kipi w całym kraju. Kiedy chodzi o mandaty poselskie, młodoczesi są nader czynni, ale w jakiej formie objawia się ta ich czynność? Jedynie w popisywaniu się pustą frazeologią na temat „czeskiego prawa państwowego. Niemal wszędzie, gdzie tylko występuje na zgromadzeniu przedwyborczem ich kandydat, podają czcze frazesy o tem prawie państwowem, zamiast jakiegoś określonego programu reform ekonomicznych, społecznych i politycznych. W bardzo wielu wypadkach już się wyborcy nie zadawalają garścią słów górnolotno-patryotycznych, żądając dokładnego wyłuszczenia programu. Zwłaszcza tam, gdzie występują z interpelacyami robotnicy, których na lep prawa państwowego wziąć się nie da—kandydat młodoczeski często bywa w opałach.

Dopóki w sejmie zasiadała dość liczna grupa posłów staroczeskich, młodoczesi mogli upozorowywać bezskuteczność swej roboty politycznej ich przeciwdziałaniem. Obecnie, kiedy starych już nie będzie, pokaże się, o ile młodzi zdolni są do pracy samodzielnej. Kto zna przywódców stronnictwa młodoczeskiego, ten ani na chwilę nie będzie się łudził co do ich przyszłych powodzeń. Są oni dobrą siłą opozycyjną, w razie potrzeby potrafią przeprowadzić energiczny i konsekwentny opór, ale na tem koniec. Brak im przedewszystkiem przywódcy, któryby potrafił partyę zorganizować, brak im sił fachowych, chociażby takich, jakie posiadają ich przeciwnicy sejmowi — liberałowie niemieccy; brak im nareszcie programu, na którym się wszyscy członkowie stronnictwa zgodzili.

Można przypuszczać, że najświeższy tryumf partyi młodoczeskiej będzie ostatecznem jej wielkiem zwycięztwem. Śledząc uważnie rozwój polityczno-społeczny narodu czeskiego, przysłuchując się zdaniom wyborców, którzy dziś jeszcze albo oddali swe głosy na kandydatów tej partyi, albo powstrzymali się od głosowania (a takich było daleko więcej, niż kiedykolwiek *), czytając organy prasy, cieszące się takim wpływem, jak *Czas*, *Radikalni Listy*, *Nasze Doba*, *Roshledy*, *Czeska straż* i inne, musimy przyjść do przekonania, że przyszłość stronnictwa młodoczeskiego zbyt świetnie się nie przedstawia. Z jednej strony zagraża mu nader poważnie młoda grupa postępowa, która cieszy się popularnością w bardzo szerokich kołach wyborców. Jedyny jej kandydat, dr. Baxa, zwyciężył w Kolinie młodoczecha taką przemagającą większością głosów, że *Narodni Listy* musiały przyznać, iż w okręgu tym stronnicy młodoczechów prawie całkiem znikli. Z drugiej strony ruch pomiędzy bogatem włościaństwem, zorganizowany przez słynnego Alfonsa Sztiastnego, wciąż się wzmaga. Ażeby burzę nadciągającą z tej strony zażegnać, młodoczesi zmuszeni byli dobrowolnie poświęcić kilkanaście swych mandatów bogatym włościanom, którzy nie poszli za Sztiastnym. Nie trzeba też zapominać, że wybory listopadowe są ostatnimi przy obowiązującem dziś prawie wyborczem. Za lat sześć z pewnością znaczną część tych miejsc w sejmie, które obecnie zajmują młodoczesi, zdobędą całkiem inne żywioły, dla nich wcale nieprzychylne, które odegrają tę samą rolę względem nich, jaką odgrywali oni względem staroczechów.

*) Wybrano ich tylko trzech — po jednym z miast, izb handlowo-przemysłowych i mniejszych posiadłości.

Ponieważ stosunki czeskie przedstawiają dla nas dużo ciekawego materyału, postaramy się więc dać czytelnikom *Prawdy* ich treściwą charakterystykę.

Prawie sześciomilionowa ludność czeska zamieszkuje Czechy, Morawię i część Szlązka, przyczem obok Czechów, stanowiących większość tych prowincyj, mieszka przeszło trzy miliony Niemców. Żywioł czeski prawie ze wszystkich stron jest otoczony zwartą masą niemiecką. Nie dość tego: na czysto czeskiem terytoryum etnograficznem istnieją dość znaczne wyspy ludności niemieckiej, jako liczne i duże niekiedy kolonie. Nie trzeba też zapominać, że miasta czeskie, zwłaszcza większe, posiadają dość dużo Niemców, do których prawie wszędzie zaliczają siebie i Żydzi. Jeśli dodamy, że prawie cały przemysł fabryczny i wielka część latifundyów zogniskowane są w rękach niemieckich, wówczas każdy zrozumie, dlaczego walka z germanizacyą zajmuje tak ważne miejsce w życiu narodu czeskiego. Walka ta wywarła wielki wpływ na całą polityczną i społeczną działalność Czechów. Potrzeba bronienia na każdym kroku swej indywidualności narodowej wyrobiła w nich energię, odporność, pracowitość i przedsiębiorczość. Z drugiej znów strony, tocząc ustawiczny bój, nie mogli nie ulegać wpływowi kultury niemieckiej, a z czasem zaczęli używać środków obrony, przejętych od wrogów. W ten sposób organizacya „Sokołów“ powstała pod wpływem niemieckich „Turnvereinów.“ „Schulverein“ niemiecki przyczynił się do założenia „Maticy szkolnej,“ nawet zasady teoretyczne słowianofilstwa czeskiego zapożyczone zostały od od... niemca Herdera.

Rzecz całkiem zrozumiała, że u narodu, który w ciągu całych wieków zmuszony był walczyć o istnienie ze światem germańskim, idea wzajemności i solidarności słowiańskiej musiała powstać wcześniej, aniżeli gdzieindziej. Marzeniom o połączeniu wszystkich plemion słowiańskich w jedną całość dla walki z Niemcami oddaje się prawie każdy z Czechów, przyczem to połączenie występuje w wyobraźni czecha, wcale nieliczącej się z rzeczywistością, pod postacią zupełnie fantasty-

---

je, że to straszne, wiecznie grożące; czego się bał i strzegł dotąd, nadchodzi z niepowstrzymaną mocą, przed którą ujścia nie ma...

Nigdy dotąd nic w życiu nie poruszyło mię tak boleśnie. Nie z oburzeniem już, a z bólem dojmującym i piekącą łzą pod powieką uciekałem od tego widoku.

Gdy znalazłem się na ulicy, sam nie wiedziałem, dokąd mam się udać. Potrzebowałem przedewszystkiem jakiejś zmiany miejsca, ludzi, obrazów, innych wrażeń, któreby kazały zapomnieć o przeżytych dopiero godzinach. O powrocie do domu pomyślałem z przestrachem — wolałem iść przed siebie, na chybił trafił, przedewszystkiem aby powietrze świeże mię owiało.

Jakoż rzeczywiście, w miarę ruchu przykre myśli opuszczać mię zaczynały i świat nie tak czarno zdawał się wyglądać. Na skręcie jednej z ulic z prawdziwą przyjemnością spostrzegłem z daleka popielaty kapelusz i głowę Olka. Poczciwy ten chłopiec ze swoją naiwną, wieśniaczą duszą wywołuje zawsze we mnie wrażenie czegoś tak mile świeżego i zdrowego, jak zapach boru. Wydaje się, jak gdyby przywoził ze sobą do miasta falę wiejskiego powietrza. Dziś w mojem rozdrażnieniu, bardziej mi był w porę, niż kiedy.

Po powitaniu i wstępnych zapytaniach postanowiliśmy udać się do Czerskiego. Pomysł był dobry, wrażenia bowiem dzisiejszego ranka zagłuszyły we mnie nietylko apetyt i pragnienie, ale wszelką myśl o nich.

U Czerskiego znaleźliśmy kilku z naszych. Dopijali ostatnich kieliszków i wiedli zawziętą dyskusyę. Przyjście nasze powitano wesołymi wykrzyknikami. Przy znanym stole, wśród znanych ludzi, przy znanej służbie poczułem się bardzo przyjemnie. Nie brakło nawet naszego staruszka od stolika, z pod okna. Jak zwykle po za filiżanką kawy trzymał rozłożoną gazetę, ale słuchem, również jak zwykle, był z nami.

Biernacki niemiły ma sposób dowodzenia — aksyomatami. Może to ciągła praca prawna i obcowanie z artykułami kodeksów wyrobiło w nim ów ton: dyskutowanie pewnikami, niezbitymi — ma się rozumieć w jego własnem przekonaniu. Nikt się tak często nie myli, jak ci, co raz utknąwszy na jakimś wyrobionym we własnej myśli pewniku, przyjmują go za aksyomat i dzwonią nim przy każdej zręczności, nie dopuszczając, Boże strzeż, żadnej podrywającej go interwencyi. Oni się nie mylą, mylić się nie mogą, to, czego dowodzą, jest dowiedzionem ściśle, logicznie i każdy, kto sądzi inaczej, rozumować nie umie i nie zdoła — szkoda tylko, że droga ich własnego wnioskowania bywa nieraz mylną. Do absurdów nieraz dochodzą, jadąc na tej nieszczęśliwej logice, na której odpowiedzialność tyle grzechów się zsyła.

(D. c. n.)

W. Dal.



czną. Słowianofilstwo tak głębokie korzenie zapuściło w jego pojęcia, że stanowi integralną część jego poglądu na świat; a ponieważ nigdy z niem nie idzie w parze dostateczna znajomość stosunków słowiańskich, ma więc ono jakiś charakter naiwno-romantyczny. Tylko u najmłodszego pokolenia społeczeństwa, u którego istotna znajomość Słowiańszczyzny zaczyna czynić pewne postępy, słowianofilstwo dawnego pokroju pomału zanika i przybiera formy całkiem już inne. Proces ten jednak odbywa się nader powoli.

(D. c. n.).

Leon Wasilewski.

ROKOSZ JONATHANA.

Z drugiej strony Atlantyku Cleveland głosi krzyżowy pochód przeciw Europie. W imię „swobody i praw przyrodzonych“ Nowego Świata, yankee zaczął wymachiwać szabelką, do której przypiął rękojeść prawną, zwaną „doktryną Monroe'a.“ Tymczasem zamiast krwi, ucieka z rynku amerykańskiego potok złota; we wschodnich grodach rozległ się już krzyk rozpaczającego bankructwa. Straty kilkodniowe dochodzą do 200 milionów funtów sterlingów, a przed oczyma Jonathana otwiera się coraz groźniejsza przepaść. Amerykanie wyobrażają sobie, że są kwiatem w pełni; swoje dwudziestopiętrowe domy i reklamy brali za wyraz „zupełnego i samodzielnego“ rozwoju. Dosyć było kilku dni, aby im oczy otworzyć. Teraz Jonathan może się przekonać, że jego „wysoki rozwój“ był tylko pokostem, którym przystroił się kraj o niewyraźnych jeszcze i nieukształtowanych rysach cywilizacyi. Czy ten rzetelny obraz, jaki się dziś wyjaśnił, zmieni postępowanie Stanów Zjednoczonych, trudno przewidzieć. Zamiast walki anglo-amerykańskiej, będziemy wkrótce mieli zapasy między wschodem a zachodem Stanów Zjednoczonych. Plutokratyczny wschód jest, bądź co bądź, związany z życiem europejskiem i zna niedokładności swego własnego ustroju społecznego. Inaczej postąpi zachód, który zechce zapewne „lynchować“ Europę, jak „lynchuje“ swych niefortunnych braci w rozwoju. Do tych instynktów rozpanoszonego zawadyactwa zwróciła się demagogia Clevelanda; idzie więc dziś o to, kto uzyska przewagę w Stanach Zjednoczonych: czy plutokratyczny wschód, czy też zawadyacki zachód?

Ten drugi stroi się w pióra wielkich haseł. Jakie to są te hasła i gdzie ich uzasadnienie? W r. 1823 ledwo co uformowane Stany Zjednoczone widziały wroga dla siebie z jednej strony w polityce kolonialnej Starego Świata, a z drugiej — w nadętej i pokrywającej się płaszczykiem mistycyzmu reakcyi „świętego przymierza.“ Co się stanie ze Stanami Zjednoczonymi, gdy Anglia zacznie regulować granice Kanady? Co się stanie z młodem państwem, gdy w interesie swego rozwoju Rosya zechce osiąść na stałe w Ameryce północnej? Szukano środka zaradczego przeciw tym dwom możliwościom.

Jednocześnie w Ameryce południowej konała potęga hiszpańska, a na ruinach wielkiego władztwa kształtowały się samodzielne organizmy państwowe. Zjawiło się więc nowe niebezpieczeństwo, mianowicie: wtargnięcie ze strony „świętego przymierza“ Europy środkowej. Ówczesny prezydent Stanów, Monroe, wsparty wiedzą uczonego prawnika, Quincy Adamsa, wystąpił z programem politycznym dla swego kraju. Ameryka — mówił Monroe — nie może być polem dla kolonialnych pokus Europy. Interwencya jej, wewnętrzne sprawy nowonarodzonych państw na południu — brzmiała druga zasada — spotka ze strony północy stanowczy opór. Doktryna Monroe była więc tylko deklaracyą i niczem więcej, deklaracyą, popartą przez Canninga, ówczesnego męża stanu Anglii. Wielka Brytania z zasady odpychała przez wiek XIX-ty wszystkie pokusy do wglądania w wewnętrzne sprawy innych państw. Nazywano tę politykę samolubstwem kramarzy; w istocie, była ona drogą wytyczną silnego narodu, który ceni poczucie swych praw i przypuszcza, że i narody słabe mają ten sam kult dla swej godności. Ale Canning miał także odziedziczoną z czasów wielkiej Armady niechęć do Hiszpanii, połączoną z wyrachowaniem, że nowe rzeczpospolite południowo-amerykańskie, jeżeli się rozwiną, staną się rynkiem dla wytwórczości angielskiej.

Samodzielność i niepodległość dotychczas niewiele przyniosły nowym tworom państwowym. Nastąpił wyraźny rozkład w krwi potomków dawnych rycerzy i awanturników rasy łacińskiej. Ameryka południowa pozostała polem popisu dla różnych bezdarnych i gwałtownych dyktatorów i dyktatorków. Bezustanne wojny domowe, głupie opory graniczne — pustoszyły i pustoszą tę ziemię, na której rozpostarły swe panowanie nierząd państwowy i nieudolność twórcza. Tysiące i dziesiątki tysięcy rąk europejskich nie mogły wytworzyć żadnego nowego ogniska dla systematycznego rozwoju; ich usiłowania ginęły w powodzi anarchii miejscowej. Miliony i miliardy kapitałów angielskich ugrzęzły w tych krajach, gdzie dziś figurują jako długi niewypłacalne. Chłopi polscy mogliby dać niejedną opowieść, świadczącą o nierządzie w Brazylii. Rynki europejskie doznały wstrząśnienia z powodu złej gospodarki w Argentynie. Czytelnicy pamiętają zapewne wstrętne opisy walk bratobójczych między Peru i Chili, a w głowach naszych kotłuje się od nazwisk dyktatorów i matadorów, rabujących skarby i ziemie innych państw południowo-amerykańskich. Wszystko, co ma charakter cywilizowany w tej części świata, musi być kierowane przez Europejczyków. Widzimy to i w Wenezueli, z którą Anglia ma dziś spór graniczny.

„Mała Wenecya“ (Venezuela) jest krajem wampirów i leniwych mulatów, którzy do niedawna zaciągali tylko długi na giełdach europejskich, nie umiejąc zorganizować ani jednego stałego przedsiębiorstwa, ani jednej drogi żelaznej, ani jednego banku. Dawniej wchodziła ona w skład Stanów kolonialnych, ale pod wpływem zasad narodowościowych z początku XIX wieku, oddzieliła się od całości. Pod ciężką ale energiczną dłonią dyktatorską kraj zaczął się rozwijać; następne lata anarchii i rokoszów zniszczyły owoce dwudziestoletniej pracy. Anglię czczono w Wenezueli; dokumenty historyczne i dyplomatyczne podkreślają zawsze „szlachetność i wspaniałomyślność“ Albionu. I nie dziw: anglicy pracowali. Był wprawdzie zatarg graniczny, ale ten około r. 1840 został uregulowany przez Schomburgka, przedstawiciela angielskiego i to w taki sposób, że część ziemi, do której Anglia miała prawa, jako sporną, pozostawiono za pasem granicznym. Niedawno wszakże zjawili się poszukiwacze złota i w pobliżu rzek Kuyuni i Essequibo znaleźli pokłady drogocennego kruszcu. Wobec łatwych zysków przebudziło się wśród obywateli Wenezueli uczucie patryotyzmu i panowie mulaci wyciągnęli rękę nietylko po ziemie, które traktaty z w. XVIII i z r. 1814 zapewniały Anglii, ale i po posiadłości, objęte uroczystym aktem Schomburgka. Wielka Brytania, która z Venezuelą ma zbyt złożone interesy ekonomiczne, zgodziła się oddać pod rozstrzygnięcie sądu polubownego ziemie, na wschód od granicy Schomburgka, obstając atoli przy nieodwołalności układów, jakie 35 lat temu zawarła. I do tego sporu granicznego dziś wtrącają się Stany Zjednoczone, na mocy „doktryny Monroe'a.“

Nie mówiąc już o tem, że *doktryna* ta jest tylko wyznaniem wiary, a nie prawem międzynarodowem, ale nawet jako doktryna jest ona zupełnie obcą zatargowi między Anglią a Venezuelą. Przeciwnie, w oświadczeniu Monroe'a wyraźnie zaznaczoną jest chęć Stanów Zjednoczonych niewtrącania się w sprawy kolonialne państw europejskich. Wreszcie mają one do czynienia z Anglią, której kolonie amerykańskie co do przestrzeni o 250,000 mil kwadratowych (angielskich) przewyższają rozległość ojczyzny Washingtona.

Rękawica więc, rzucona Anglii przez Clevelanda, jest tylko dziełem zawiści. Stany Zjednoczone, widząc wzrastający podbój Ameryki południowej przez życie ekonomiczne Europy, chciałyby wstrzymać ten pochód, same nie mając sił gospodarczych dla zorganizowania rynków, które dziś osłabia anarchia i zwyrodnienie tuziemców. Oto jest zakulisowa sprężyna sporu, z jakim Nathaniel grozi zakłóceniem spokoju europejskiego. Jest i inna sprężyna: chęć wyzyskania szowinizmu narodowego w interesie stronnictwa demokratycznego, któremu grozi porażka. Nie trzeba wszakże widzieć w rokoszu amerykańskim przeciw Europie tylko manewru elektoralnego. Wskazaliśmy wyżej podstawowe źródła tego sporu, który prędzej czy później musiał wytrysnąć na powierzchnię, grożąc zniszczeniem i ruiną.

Stany Zjednoczone nietylko mają złą sprawę, ale nadto są w sporze tym obozem reakcyjnym, gdyż idzie im o to, aby wstrzymać dziś rozwój Ameryki południowej, na której — kiedyś — w dalekiej przyszłości one same chcą rozłożyć obozowisko. W naszych wszakże czasach rozwój ludności jest wszechświatowym — wszystko, co go wstrzymuje, jest wstecznem. Ameryka południowa nie może pójść o własnych siłach; nikt dziś nie myśli o jej podboju politycznym, ale wciągnięcie tych ziem w orbitę europejskiego życia ekonomicznego jest sprawą nietylko europejską, nietylko południowo-amerykańską ale wszechludzką.

Cleveland będzie miał po swojej stronie masy znarowione demagogią — to nie ulega wątpliwości. Ludzkość wszakże ma określone poglądy na kwastyę pokoju i wojny. Plutokracya wschodu Stanów Zjednoczonych znajdzie zatem sojusznika w rosnącym pojęć humanitarnych, które zbrojną walkę bezprzedmiotową piętnują mianem zbrodni. Pomoc ta będzie tem skuteczniejsza, że w Anglii naród cały znosi obelgi, które pochodzą z Washingtonu, ze spokojem, chcąc wszelkiemi siłami uniknąć walki zbrojnej.

Jeżeli widmo jej pierzchnie, demokracya będzie musiała zdać sobie sprawę, że prezydent rzeczpospolitej, ponimo ograniczonej swej władzy, gdy może rozporządzać tłumem, obałamuconym przez krzykactwo polityczne, ma w sobie również tyle zgrozy, ile mieściło się w kapryśnej władzy Kaliguli lub Heliogabala. Aby się na przyszłość zabezpieczyć od histeryi Clevelandów, trzeba odzwyczaić masy ludowe od czczego bałwochwalstwa frazeologii krzykliwej.

N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Awanturniczo i krwawo zaczął się rok 1896 w Afryce. Do Transwalu z krainy Matebele wtargnął oddział ochotniczy angielski pod wodzą niejakiego Jamesona (Jamiesonn), aby dostać się do Johamesburga, gdzie osadnicy angielscy, pod pozorem dobijania się praw politycznych, odmawianych im przez Boerów (wym. „bur“) wytworzyli byli zbrojny związek. Cel był jasny: wybić się na niepodległość, rzeczpospolitą rozszarpać, wywołać interwencyę angielską i ostatecznie poddać Transwal pod panowanie Anglii, któraś go do r. 1884 posiadała, a od samego początku, od r. 1848, kolonialną żarłocznością swoją ścigała. Prezydent rzeczypospolitej Kruger, wiedząc już o przygotowaniach Anglików, zebrał siłę zbrojną i ta d. 1-go stycznia czekała już napastników pod Krügersdorpem. Anglicy, w liczbie przeszło 500, znaleźli się wobec tysiąca kilku set bitnych Boerów w doskonałych pozycyach. Daremnie usiłowali się przedzeć, pomimo mniejszości liczebnej atakując nieprzyjaciela. Noc przerwała walkę, trwającą już od 11 godzin. Nazajutrz jeszcze awanturnicy wszcząć ją musieli dla samego ocalenia się; ale osaczeni, d. 2 b. m. poddali się Transwalczykom. W boju utracili 130 zabitych i 37 rannych. Rozeszła się pogłoska, że nad jeńcami złożył Krüger sąd wojenny, że nawet już głównego sprawcę, Jamesona, rozstrzelać nakazał. Rozpuścili ją Anglicy dla wzburzenia opinii. Rzeczywiście, żadnemu z jeńców włos z głowy dotychczas nie spadł.

Napaść nie była robotą samych tylko ochotników; wpłynął na nią rząd Przylądka, na którego czele stoi odznaczający się brutalną chciwością polityczną, Cecil Rhodes. Rząd ten o wszystkiem wiedział, wszystkiego się wszakże wyparł. Wiedział i angielski minister kolonii Chamberlain o wyprawie i jakoby jeszcze przed potyczką pod Krügersdorpem przysłał telegraficzny rozkaz zawrócenia Jamesona z drogi,—zapóźno. Świadomość działania okazuje się z tego, że w oddziale napastniczym znajdowali się żołnierze angielscy, zaciągnięci przez Jamesona. Oburzenie, coprawda, łatwe, bo niechęcią istniejącą już ku Anglii podsycone, ogarnęło całą Europę. Cesarz Wilhelm powinszował Krugorowi zwycięztwa, wyprawę nazwał „napaścią rozbójniczą“ i korzystając z obecności sekretarza stanu Transwalu, Lyeds'a w Berlinie, zajął się żywo losem Boerów, niecobojętnym dla Niemiec ze względu na sąsiedztwo od zachodu z krainami od puszczy Kalahary do rzeki Oranje, w których toczy się walka, już 60-letnia, między żywiołem angielskim a holenderskim. Jeżeli proch nie spali na panewce, może z tego zajęcia się niemieckiego wyjść uznanie Transwalu za państwo neutralne i zupełnie samoistne, posiadające już prawo zawierania traktatów handlowych, przynajmniej, bez opowiadania się Anglii. W Afryce bratnia rzeczpospolita Oranje zbroi się, śpiesząc Boerom z pomocą. Oni sami wytężają wszystkie siły, a mają ich nie wiele: 125,000 ludności białej i 570,000 opodatkowanej czarnej—na 5,300 milach kwadratowych. Przedewszystkiem muszą się uspokoić z opornymi w Johannesburgu Anglikami, którzy podnieśli jawny rokosz.

Anglia, oczywiście, zepchnęła z siebie wszelką odpowiedzialność za Jamesona. Chamberlain i Salisbury radzą z Wolseleyem, z generałami i lordami admiralicyi dla obmyślenia środków do wojny w Afryce. Times grozi już Niemcom nienawiścią systematyczną, pod którą i wojna podchodzi. Wojny przecież nie będzie. Nawet objęcie protektoratu nad Transwalem przez Niemcy rozpaliłoby jej nie zdołało. Może być tylko srożenie się wojenne, ale nie wojna. Zaborczość angielska pieni się na cesarza Wilhelma. Jakiś patryota w *Timesie* radzi wykreślić go z kontrol armii angielskiej. Głośny bęben za górami.

W Azyi Mniejszej, w Urfie, były znowu walki plemienne, krwawe. Mówią znowu o zmianie wezyra. Policya państwowa więzi Turków podejrzanych o spiskowanie na sułtana. Zeitun jeszcze się trzyma. Otuliły go śniegi.

Z Ameryki przylatują wieści wojenne pomyślne dla powstania na Kubie. Wyspiarzom ma się tak świetnie powodzić, że już stoją niedaleko od Hawany, otaczając ją jakoby z dwóch stron: od prowincyi Pinar del Rio i od Matanzeas. W zbliżenie się do stolicy wierzyć można, ale w osaczenie, w zamiar zdobycia—nigdy. Powstańcy nie mają dział, dostatecznie licznych i dobrych, a Martinez Campos stoi przeciwko nim pod stolicą z całym korpusem wojska regularnego. Wynik walki dla nikogo wątpliwym być nie może. Kubanie mogą prowadzić wojnę podjazdową, wojnę przytem ściśle polityczną, taką, któraby samem trwaniem swojem zmusiła rząd hiszpański do ustępstw politycznych. Ściągnięcie oddziałów partyzanckich w jeden punkt, i to jeszcze tak silny, jak okolice Hawany, mogłoby zgotować grób powstaniu—gdyby nie było prostą tylko demonstracyą.

Na Węgrzech, które w r. bieżącym obchodzą 1000-lecie swego istnienia w formie narodowego państwa, hr. Aponyi, przewódzca stronnictwa narodowego, na gwiazdkę wydał wezwanie do narodu o zgodę wewnętrzną, przynajmniej taką, jakiej potrzebuje dla siebie sama uroczystość, aby nie wydać Węgrów na pośmiewisko świata cywilizowanego. Gorący ten, szlachetny głos może wzmocnić to stronnictwo któremu sam Aponyi przewodzi. Upamiętania się potrzebują wszystkie stronnictwa, nawet i zostające pod sterem człowieka nawołującego naród do jedności.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Syn Kaz. Zalewskiego. — Jubileusz Edwarda Lubowskiego. — Ojcowie naszej komedyi.

Na co koniec starego roku nie zostawił czasu ani miejsca, to w początku nowego dopełnić potrzeba. Nie będzie to zadanie przykre, bo ostatnia sztuka 4-aktowa Zalewskiego, przedstawiona na scenie Teatru Rozmaitości d. 18 grudnia r. z., podobała się i publiczności i krytyce. Nie znajdujemy w niej rysów oryginalnych, silnych, pociągających, słuchamy jej jednak z przyjemnością, która nie utrwala się wprawdzie we wspomnieniach estetycznych, ale na potrzeby chwili starczy i prowadzi widza do tego najzewnętrzniejszego i zarazem najpożądańszego dlań celu sztuki teatralnej, jakim dla *profanum vulgus* była, jest i będzie zawsze zabawa. Nazwanie najnowszego utworu „sztuką“ wskazuje, że nie należy on do rzędu rdzennie wesołych, samym komizmem swoim bawiących; a to znowu, co się w tej sztuce dzieje, nie może dać wyobrażenia o tem, czego się od niej na przedstawieniu — bo nie w czytaniu — doznaje. „Syn“ jest jednym z tych utworów, w których autor tylko w ścisłem przymierzu z aktorem ów cel pożądany dla tłumu osiągnąć może; gra aktorska tak się w niej z pomysłem autorskim stapia, że słuszny podział wartości i zasługi pomiędzy obie żywe siły i źródła przyjemności teatralnej, wymagałby skrzętnej, a może przytem niewdzięcznej, analizy.

Dzieje się, a raczej dziać się ma, w sztuce Zalewskiego walka o sukcesyę po ćwiertowanym już za życia bogatym kuzynie Olkszyckim (p. Ładnowski). Zdawać-by się mogło, że on tu będzie postacią główną, biegunem magnetycznym, grupującym koło siebie liche opiłki człowieczeństwa: nie! Do pierwszeństwa nie ma prawa i ten nawet, komu sztuka sama nazwę swą zawdzięcza, Jan Koresz (p. Nowicki). Prym trzyma żona jednego z domniemanych dziedziców Klaporzewska (p. Lüde). Jej to dał Zalewski rolę wszystkie inne głuszącą, otworzoną jakby na popis dla aktorki. Pani Lüde mówi bardzo dużo i bardzo głośno, a ponieważ umie mówić dobrze, co autor przedtem umiał dobrze napisać, przeto powodzenie sztuki zapewnione. Ani w tej roli przecież, ani w innych nie trzeba szukać walki, intrygi, genialnych czynów chciwości zbliźniaczonej z kłamstwem, jak w *Interesach familijnych* Kraszewskiego; tego się w *Synu* nie znajdzie. Satyra zarówno jak dramat zostawiły pole tematyczne odłogiem: Klaporzewska do celu idzie przez flirt i naiwność; zalotnością chce sobie zdobyć i Koresza i spadek, jak gdyby pierwszy był już gotowym banknotem, a drugi żywym mężczyzną. To, co ta zalotnica z zawodu robi dla porwania sukcesyi, jest albo opacznem, albo zbytecznem; w tem znowu, czem stara się usidlić Koresza, nie pokazuje ani żywiołowej swej siły, ani brutalnej żądzy posiadania. Tu i tam jest tylko salonową kokietką.

Najważniejsze wypadki sztuki dzieją się za sceną. Ojcowstwo, które od obowiązków swoich uciekło; synowstwo, niby zacne, ale lodowato zimne i tą lodowatością nieszlachetne, i nawet nieprawdziwe; macierzyństwo, utajone w urzędowych formach małżeństwa—wszystko to zaledwie przebłyskuje w sztuce Zalewskiego. Pewną oryginalnością—może zanadto wyciągniętą,—odznacza się mąż matki Koresza, niegdyś kochanki Olkszyckiego (p. Borkowska), Baluszyński (p. Frenkiel),—poczciwy, lecz i głupi, z łatwiejszego więc typu poczciwości. Rozwiązanie, w którem Koresz odtrąca i samego naturalnego ojca swego, Olkszyckiego, i jego majątek—jest rysem wcale nie niespodziewanym, ale też i wcale nie usprawiedliwionym. Jeszcze większą niespodziankę stanowi zapisanie majątku na przytułki miłosierne. O Olkszyckim żadnego zgoła nie możemy mieć wyobrażenia z jego przejawienia się w sztuce.

Nie wszystko zatem w *Synu* wiąże się wewnętrzną, rozumną, psychologiczną i estetyczną jednością, ale wszystko jakoś trzyma się w całości—dzięki wprawie autora, nietylko w literackie pisanie, ale i w praktyczne — ze stanowiska dramatu — uscenicznianie pomysłów. Dyalog, będący od *Przed ślubem* niezaprzeczoną już zdobyczą i siłą Zalewskiego, wszystko układa, spaja i wygładza dla ostatecznego celu zajęcia i zabawienia widza — czy to powagą czy śmiechem. Nie mało pomaga *Synowi* do powodzenia zręczność w przystawkach do głównego budynku, jeżeli w sztuce jest coś głównego: taki lichwiarz Fiszel (p. Wojdałowicz), taki utracyusz jeden z drugim, Klupczewski (p. Prażmowski) i Dęboradzki (p. Wolski). Taki złodziej-rządca Polchrewicz (p. Rapacki). Ale nad wszystkiem góruje, wszystko pokrywa umiejętność dyalogowania, swada, z jaką przemawiają, głęboko czy płytko wzięte postaci tego mikrokosmu.

Rzecz prosta, że w sztuce napisanej tak jak *Syn*, a cieszącej się powodzeniem, lwia część zasługi zawsze sporną będzie między aktorem i autorem, który też najlepiej zrobi, jeśli dobrowolnie zrzecze się pierwszeństwa. Sztukę Zalewskiego, co prawda, trudnościami żadnemi nie najeżo-

ną, odegrano świetnie. P. Lude ma prawo do wdzięczności autora, i na niewdzięczność też jego pewno się nie uskarża. Ileby zbrakło do powodzenia, gdyby nie ta jej gra z temperamentem i swobodą i prawdą, prawie doskonałą—dochodzić tutaj nie będę. Z pochwałą wszakże tak stanowczą połączyć muszę i naganę, choć tylko lekką. Żywość wysłowienia była nieraz zbyt wielką i mąciła porządek słów wymawianych. „Łazienki“ kłóciły się z „Belwederem,“ „obowiązek“ z „powinnością.“ Artystka chwytać się musiała na gorącym uczynku błędów i samą siebie poprawiać. Nic podobnego dziać się nie powinno nawet na scenie, która już pierwszorzędną być przestała.

D. 28 go grudnia 1895 r. obchodzono jubileusz 30-letni Lubowskiego. Nie wiem czy tyle lat już liczy najpierwsza sztuka jubilata, ale zdaje mi się, że tyle lat już upłynęło od osiedlenia się jego w Warszawie. Pomijając wstrętną formę jedzenia, nieodłącznego już od publicznych naszych radości—na sam obchód rocznicy patrzeć potrzeba życzliwem okiem. Lubowskiemu zawdzięcza Warszawa, i chwilowo bawiąca w niej w ciągu tego trzydziestolecia prowincya nie jeden wieczór przyjemny, a nawet trochę pożytecznych, ilekroć z pod jego pióra wyszedł rys poważniejszy i głębszy. *Pogodzeni z losem*, *Osaczony* sięgają za obręb tego teatru maryonetek, jakim w gruncie rzeczy są nowoczesne sztuki obyczajowe—z miłością i miłostkami, z tuzinkowemi epopejami serc, z równowagą łatwo przywracać się dającą przez to najwyższe szczęście, jakiem jest, rzecz prosta, małżeństwo.

Skłonność wrodzona pchała Lubowskiego do satyry. Najpierwsza niedołężna jeszcze próba *Ubodzy w salonie* zapowiedziała wyrobienie się w tym kierunku. Życie zawiodło oczekiwania i samego Lubowskiego, i jego życzliwych, i krytyki wreszcie, o ile krytyka bez uprzedzenia patrzeć chciała. W *Nietoperzach* ukazał się spostrzegacz oryginalny, ale zarazem i umysł niezdolny do syntezy, do typu. Samodzielniejszy w podpatrywaniu życia, ale mniej szczęśliwy w chwytaniu kwestyi, t. j. stosunków społecznych zajmujących publiczność teatralną, a nie dość przytem czuły na wymagania sceny,—Lubowski dał się zdystansować Zalewskiemu, który i z literaturą dramatyczną, zwłaszcza ze współczesnym teatrem francuskim, był lepiej obyty, i kunszt sceniczności i dar dyalogowania zajmującego, wcześnie w sobie wyrobić usiłował, wiedząc, że z tej właśnie strony wieją wiatry pomyślne.

Pierwszorzędnym talentem—jak nazywa Lubowskiego Sienkiewicz—autor *Nietoperzy* nigdy nie był, nawet dla samego siebie; miał jednak talent rzeczywisty, nietylko literacki, ale duchowy, przejawiający się nie w wyrobieniu pióra, ale w poglądzie na świat, na ludzi i ich sprawy i kształtowaniu rzeczy widzianych w swym umyśle. Krzyku Jacusia: „Stryj umarł“—nie zapomni ten kto człowieczeństwo odczuwa w serdecznej jego głębi. Jak zasługą Lubowskiego jest podnoszenie tematów poważnych, tak nie ciąży na nim wina porubstwa z muzą podkasaną. Są tylko grzeszki pod tym względem, ale niema systematycznego spekulowania na poziome instynkty. Zgryźliwość sama, niezdolność do prawdziwego humoru, do wesołych pohulanek myśli, zabezpieczała Lubowskiego od tłustych konceptów, powiewnych dwuznaczników, niesmacznych docinków obyczajowych. Wyższych, głęboko w duszę wrosłych dążności nigdy nie miał, nie patrzał nigdy na człowieka—człowieka komedyi—*sub specie aeternitatis*—nie dostrzegał i nieuwydatniał wiekuistości zła, dziwactwa i śmieszności; ale był szczerze przywiązanym do dobra, czuł moralną czystość i tę nieskazitelność, jaką nadaje żądzom estetycznym umiłowana prawda życia, do której miłowania samo pióro literackie nie wystarczy. Stylu nie wyrobił w sobie nigdy, i to mu nie pozwoliło wybić się na czoło kolumny. Ale gdy wogóle epoka współczesna, wielce płodna, nie przyniosła nam żadnego trwałego komedyopisarza; gdy nie jest nim ani przerodzony zupełnie od czasu demokratycznych swych powieści, a rozweselać tylko pragnący Bałucki, ani Bliziński, który tworzył mało, pracowicie i w ograniczonym zakresie życia i charakterów, ani Zalewski, który wyrósł właśnie tem, czego nie miał Lubowski: stylem i zręcznością na scenie—do gronatych ojców najnowszej komedyi polskiej ma prawo wejść i człowiek, którego 30-lecie święcił w samym końcu ubiegłego roku świat literacki, święciła i publiczność, i scena warszawska.

Stanisław Krzemiński.

ODCZYTY.

Dr. M. Flaum. *O życiu i śmierci.*—Ignacy Matuszewski. *Ideał bohaterstwa w dramacie staroindyjskim.*

Tajonego zjawiska życia, z któremi dziś często spotykamy się w naturze, dowodzą już dostatecznie, że nie ma właściwie przeskoku, gwałtownego przejścia od życia do śmierci. Wynika ona powoli, stopniowo rozwija się z życia. Kolejno zamierają oddzielne grupy komórek, usypiają pojedyncze czynności w żywych ustrojach. Na czem polegają zjawiska życiowe—oto drugie zagadnienie, poruszone w odczycie. Porównanie żywego tworu do maszyny słuszne jest o tyle, o ile i tu i tam zachodzą przeobrażenia materyi i energii, rządzone dwoma naczelnemi prawami przyrody: prawem niezniszczalności materyi i—zachowania energii; w żywych istotach wszelako zachodzi jeszcze bezustanne przemiana form postaci, kształtów. Wszystko, co żyje—rośnie, rozwija się, doskonali lub odwrotnie, starzeje się, zanika, niedołężnieje. Zmiana, przeobrażenie form, widoczne w mnożeniu się żywych istot, jest zasadniczą cechą żywej materyi. Na życie normalne składają się dwa szeregi warunków: zewnętrzne, przechodzące z otoczenia i wewnętrzne, tkwiące w organizacyi, harmonii, w ładzie i wzajemnem przystowaniu się oddzielnych części składowych organizmu. Póki ta harmonia nie ulegnie zakłóceniu, życie trwa bez przerwy. Zakłócenia wszakże pochodzą wewnątrz, przy wrogiem oddziaływaniu wyników otaczającej nas przyrody, lecz nie są to wyłączne przyczyny śmierci. Chociażby przy najpomyślniejszym wpływie warunków zewnętrznych, śmierć nastąpić musi i to ze starzenia się, śmierć naturalna, której przyczyny tkwią w samej organizacyi. Albowiem obok harmonijnego współdziałania składowych części organizmu, istnieje pomiędzy niemi ustawiczna walka, w której ostatecznie jeden ze składników wyczerpać się musi i uledz. Stąd zakłócenie harmonii i porażka całego ustroju, śmierć naturalna. Jest ona koniecznem, niezbędnem ogniwem w łańcuchu przeobrażenia materyi, krążącej ustawicznie w przyrodzie. Prawo życia istnieć może tylko obok prawa śmierci. Dopełniają się one i właściwie mieszczą jedno w drugiem. O prawo do życia wszakże wre w każdym organizmie ciągła walka; przykłady jej spotykamy na każdym kroku, badając środki ochronne, pozostające w rozporządzeniu żywych ustrojów i budzące się z uśpienia, gdy zagraża zewnętrzne jakie niebezpieczeństwo. Pragnienie życia jest ogólnem, naturalnem prawem, którego żadnemi rozumowaniami obalić nie można. Potrzeba ciosów, gwałtownych, brutalnych, ażeby istotom żywym prawo to odebrać.

Schopenhauer uważał poznanie ksiąg Wedy za wielką wyższość wieku XIX nad XVIII-ym i twierdził, że z czasem literatura sanskrycka wywrze na umysłowość europejską wpływ nie mniejszy niż grecka w wieku XV-ym. P. Matuszewski zaznacza, że przepowiednia ta zaczyna się sprawdzać w dobie obecnej, gdyż metafizyka europejska, dzięki właśnie Schopenhauerowi, pochłonęła dużo pierwiastków indyjskich. Ale, rzecz dziwna, zainteresowanie się zachodu wytworem umysłowości sanskryckiej obudziło śród warstw ukształconych półwyspu indyjskiego wielki ruch w kierunku przeciw-europejskim i zwrot do ideałów narodowo religijnych. Możeby to wrogie usposobienie było większe, gdyby wiedziano, jak literatura europejska skaziła i przerobiła według swojej mody najwybitniejsze utwory starożytne sanskryckie. Estetyka, wysubtelniona do granic niepojętych dla europejczyka odcięła zupełnie dramat indyjski od życia rzeczywistego. To też nie mógł on być zwierciadłem zwyczajów i obyczajów; stał się natomiast soczewką, skupiającą w sobie promienie czysto idealnych marzeń i pragnień. Rozwijając się w tym zakresie, szedł po tej samej drodze, co utwory innej formy. Indusi znali dokładnie rodowód niezliczonych bogów i bohaterów zmysłowych, jednocześnie zaś przykryli lekceważeniem i zapomnieniem dzieje rzeczywiste; nie mają wcale kronik historycznych. Zatopieni w rozmyślaniach nad nieskończonością, pogardzili rzeczami doczesnemi, wprowadzili natomiast ludzi i wypadki życiowe do pozyi i na scenę, „przepuszczali je przez filtr etyczny, który zatrzymywał wszystkie brudy i męty natury człowieczej i dawał samą jej przeduchowioną kwintesencyę!“ Więc też poezya ich jest najbogatszą w charaktery dodatnie, przesiąknięte poczuciem estetycznem, etycznem i bohaterstwem. Typy ujemne występują rzadko, przy tem odgrywają zwykle role drugorzędne i są postaciami nadprzyrodzonemi: królowie demonów, czarodzieje i czarownice (Malati i Madara). W epopejach, stworzonych znacznie wcześniej przed dramatem, jeszcze się zdarzały złe postacie ludzkie np. synowie króla Dritarasztry w Mahabharacie. Dramat zupełnie je wykluczył i tylko w niższych jego rodzajach albo w przerwach pomiędzy aktami wychodzą ludzie, nie tyle źli, ile brutalni i głupi, których brzydota moralna łagodzona była pierwiastkiem komicznym. Postacie dramatu zbudowane nie z ciała i krwi lecz wyobraźni, zaczerpniętej z dziedziny idealnej, dają pojęcie o tem, czem Indusi być *pragnęli*. W filozofii doszli oni do zaprzeczenia realności świata otaczającego, w etyce rozwinęli zasadę wszechpotęgi woli, której działanie jednak nie tryskało zewnątrz, lecz skupiało się w głębi, nie rozpraszało się na zdobywanie dóbr ziemskich dla zaspokojenia potrzeb i namiętności; przeciwnie—usiłowało je stłumić i wytępić. Ten, kto zwyciężał innych, uważany był za silnego; kto jednak zwyciężał siebie, składał świadectwo stokroć większej siły.

„Kiedy człowiek nie wzrusza się niepowodzeniem, nie cieszy się powodzeniem, kiedy wypędził żądzę, obawę i troski, wtedy zasługuje na nazwę stałego w mądrości“ (Bhagavad-Gita). Najznakomitszymi bohaterami tego typu byli „yogisowie“—asceci indyjscy. Ale ponieważ żyli oni w odosobnieniu od świata, trudno z nich było robić główne postacie sceniczne. Istnieje atoli w poezyi teatralnej Indusów heros, posiadający wszystkie dane bohatera: król Hariczandra, którego legendę opracował dla sceny Kszemiszwara w dramacie heroicznym (*nataka*) p. t. „Czanda-Kansika“ (Gniew Kanziki). Cały ten utwór, przedstawiający szereg straszliwych

nieszczęść i cierpień, wstrząsa nerwami. Ale jak wogóle wszelkie dramaty sanskryckie, i ten musi się kończyć dobrze, bo tego wymaga estetyka indyjska. Sprawia to ulgę nerwom, ale—jak słusznie zaznacza prelegent—nie zadawala wymagań naszej europejskiej estetyki uczonych, bo ludowa stoi na tym samym gruncie. Rzecz dziwna, że Indusi, którzy w filozofii doszli do krańcowego pesymizmu, nie zdolali wytworzyć tragedyi i wszelkie swoje najpiękniejsze, najgłębsze dramaty zamykają rodzajem apoteozy operowo-baletowej.

Literatura tego rodzaju musiała, rzecz prosta, powstać na tle wierzeń, pojęć i pragnień tego ludu, słowem, odtworzyć całą tę dziedzinę duchową i moralną. Indus opuszczał świat zupełnie obojętnie, z rezygnacyą. Nie rozumiał, co to jest walka z losem, gdyż na to czuł się za mało usposobionym i wyzwolonym z życia powszechnego. Nie uważał się on, jak Manfred lub Faust, za środowisko świata lecz tylko za jedną z fal oceanu kosmicznego, która, parta siłą konieczności, wybiegła na piasek nabrzeżny, aby za chwilę wrócić znowu na łono nieskończonego wszechbytu (Parabrahm). Nadto Indus nigdy nie miał wątpliwości co do życia zagrobowego. Wiara zaś w metampsychozę oraz w sprawiedliwe prawo „Karimy" (możność wyrównania szczerb żywota ziemskiego w drugim, lepszym), wszystko to pozwala mu znosić pociski losu i wyczekiwać spokojnie śmierci — początku odrodzenia.

Tymczasem w Europie, gdzie wierzono, że człowiek obdarzony zupełnie wolną wolą, raz tylko żyje na świecie i raz tylko może wybierać pomiędzy złem a dobrem, tragedya była niejako koniecznością estetyczną i etyczną. Indusi albo się rozpływali w głębokich metafizyczno-panteistycznych marzeniach, albo też robili z poezyi przyjemny i pokrzepiający pokarm dla serca i wyobraźni. Pierwsze z tych upodobań wydało olbrzymie epopeje „święte," owocem drugiego był dramat fantastyczny. Epopeje uczyły i podnosiły ducha, dramat sprawiał rozkosz estetyczną i etyczną. W pierwszych rozbierano najzawilsze zagadnienia bytu, albo opiewano dzieje bogów, zstępujących na ziemię dla przywrócenia porządku i sprawiedliwości, naruszonych przez demonów; w dramatach zajmowano się nie tyle czynami, ile wewnętrzną duchową stroną bogów, bohaterów i ludzi.

P. Matuszewski nadał szerokie tło swemu odczytowi, a raczej starannej pracy literackiej i doskonale przeprowadził porównanie bohaterów tudzież pierwiastków i czynników literatury dramatycznej europejskiej z indyjską.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

INTELIGENCYA I JEJ NATURA.

Frazes, że żyjemy w wieku tolerancyi, krytycyzmu i wiedzy, stał się utartym pewnikiem. Nie topimy czarownic, ani na stos nie wysyłamy heretyków, oddaliśmy olbrzymie gmachy na pomieszczenie książek, rozporządzamy kilkunastotomowymi zbiorami wszelkiej mądrości, encyklopedyami, posiadamy spory zastęp śmiecia, używającego tytułu doktora filozofii, domy swoje zaopatrzyliśmy w konduktory, którym więcej dowierzamy aniżeli dzwonkom loretańskim. Jesteśmy z tego wszystkiego bardzo dumni. Z niewymowną pogardą spoglądamy na przeszłość, na dawnych barbarzyńców, którzy nie posiadali szkółek i nie trzymali w ciągu lat paru dziatwy swojej nad abecadłem, a zadowoleni ze swego stanu, sadzamy siebie na piedestale wyższości i rozumu.

Żyjemy w wieku wiedzy i krytycyzmu! Tak powszechnie twierdzą. Ale odrzućmy zarozumiałość, nie dajmy uwieść się pozorom i sięgnijmy do jądra. Nie chęć dostarczania spożywcom dobrego wytworu, ale pobieranie wysokich dochodów stało się przewodnią dążnością produkcyi. Tandeta jest godłem powszechnem. Tkaniny któremi okrywamy swoje ciało, napoje, jakie pijemy, pod względem dobroci spadły. Zamiast sprzętów, obliczonych na życie całego pokolenia, nawet oddawanych w spadku synom i wnukom, kupujemy fotele, po paru latach wymawiające posłuszeństwo i kredense, które są suto rzeźbione, lecz pod powierzchowną ozdobą ukrywają niekiedy jak najlichszą fuszerkę. Każdy towar—bo zamiast przedmiotów mamy towary—staje się gorszym, użycie zaś polega na przeładowywaniu tandetą: na piciu, zamiast czystego trunku, mieszaniny chemicznej; na kupowaniu wdzięków nierządnicy. I wśród powszechnej lichoty jedynie wiedza i oświata miałyby pozostać wyjątkiem odznaczać się osobliwą gruntownością i nieskazitelnością! Żyjemy w powszechnym spisku na nasze potrzeby, nerwy, pociągi. Nasz organizm, nawet gdy bierze lekarstwo, nie zawsze dostaje takie, jakie mu się należy; w restauracyach trują systematycznie, niehygienicznie zbudowane domy są rozsadnikiem miazmatów. I znowu jedynie krytyczność nasza miałaby być z szczerego złota, chociaż dokoła tandeta przegryzła i nadpsuła wszystko!

I.

Na razie nie chodzi nam o świeczniki nauki nowoczesnej. Dajmy na to że uczeni są don Kiszotami prawdy i bezinteresowności. Natomiast zwrócimy się ku tłumom — owym wykształconym, oświeconym i nieprzesądnym tłumom wieku dziewiętnastego. Nie spuścimy się więc do otchłani, której słońce wiedzy nie rozjaśniło jeszcze swoimi promieniami, lecz zatrzymamy się na wierzchołkach, kąpiących się w cieple i świetle: na tych kołach które przywłaszczają sobie miano mózgu narodowego i mniemają, że powinny w społeczeństwie zająć stanowisko dawnych rodów rycerskich i dzisiejszych możnowładców plutokracyi! Nowa to arystokracya—nie z soli i roli, lecz z ducha, marząca w swojej zarozumiałości, że świat ludzki po to rozwijał się i cierpiał, ażeby temu zastępowi, zbrojnemu w wyniki myśli wielkich humanistów, oddać niziny społeczne na pastwę wieczną i wyzysk.

Ci kandydaci na nowych arystokratów szczycą się swoją wiedzą. Na czem polega jednak wszelka wiedza, szczególnie zaś którą oni posiadają? Ktoś dowiedział się, iż ziemia obraca się około słońca, że płód w łonie matki przedstawia kolejno bardzo odmienne kształty, że jest na świecie tyle to pierwiastków chemicznych, słowem posiada on w swoim spichlerzu umysłowym zasób najrozmaitszych faktów i faktów. Rozumie się, wiedzieć o tem wszystkiem jest pożyteczniej niż odznaczać się nieuctwem. Ale gruntowna wiedza polega na czemś innem. Można naszpikować swój mózg obficie różnymi szczegółami o przyrodzie i jej prawach, a przecież pozostać głupim, nawet arcygłupim. Istotna nauka zasadza się na przetrawieniu faktów i faktów, na ukuciu z nich samodzielnego rynsztunku umysłowego, wreszcie na zdawaniu sobie należytej sprawy ze sposobów, jak człowiek wydzierał przyrodzie jej tajemnice. Ale oświata nowoczesna właśnie żywi głęboką odrazę do takiego przyswajania skarbów wiedzy. W wielkich ogniskach przemysłu ludzie jedzą stojąc przed bufetem, bo nie mają czasu na porządny posiłek. Podobnie połykamy naukę: nie ma tam mowy o spożyciu, lecz tylko o napchaniu mózgu. Mędrzec wschodni lepiej pojmował istotę światła. Szedł on na pustynię rozmyślać. Błądził po manowcach, ale to błąkanie wynikało nie z metody jego postępowania, jeno ze szczupłości materyału, który chcąc przetrawić uciekał od zgiełku. Taki samotnik spędzał lata na rozmyślaniu i gdy wracał do świata, przynosił z sobą jaźń własną, opłaconą drogo, bo wysiłkiem nerwów, katuszami i zwątpieniami własnego ducha. Naturalnie, nie pragnę namawiać kogoś do wskrzeszania podobnej tradycyi; jedynie chciałbym uwydatnić tę właściwość oświaty nowoczesnej że dobór faktów w naszych mózgach przedstawia po prostu coś w rodzaju „tanich bazarów," w których wnętrzu wszystkiego można dostać potrosze: i abecadła, i wykałaczki do zębów. W pamięci mojej wypływa postać jednego z towarzyszy ławy szkolnej: pocieszny to był chłopiec, uczesany według najświeższej mody, umiejący każdemu powiedzieć miłe słówko, niewrażliwy na wszystko, co nie wiązało się z jego karyerą lub ubiorem. Gdyśmy opuszczali szkołę, bodaj próez Robinsona i podręczników nie miał w ręku żadnej książki, chyba jakąś, poświęconą niemiłym skutkom kupowanej miłości. Po kwartale niewidzenia spotykamy się znowu, jako towarzysze uniwersyteccy. Moje pacholę umysłowe wita mię oświadczeniem: „wiesz, w nic już nie wierzę!" W taki to, niestety, sposób filozofia dzisiejsza toruje sobie drogę: człowiek odrzuca dawne swoje zapatrywania z taką samą obojętnością z jaką kupuje nowy krawat. Rzecz ciekawa, dzisiejsza powieść, która nie uszanowała żadnej skrytki duszy ludzkiej, nie cofnęła się przed dotknięciem najwstrętniejszych brudów i z pokładów naszej istoty wewnętrznej wywlokła wszystko, co tylko da się spieniężyć na rynku twórczości artystycznej, ani jednem słówkiem nie potrąca tego przewrotu, jaki tam w jestestwie duchowem odbył się przy przeinaczaniu poglądu na świat. Znam liczne spowiedzie różnych „ja:" zrozpaczonych analityków miłości, którzy umieją kochać tylko mózgiem i przemędrkowali swoje uczucia, pomazańców Nirwany, którzy w swoim organizmie nie mają ani jednej iskierki życia, narwańców wielkości, którzy gotowi są oplwać wszystko prócz siebie. Wszelka chora dusza zabiera tam głos. Ale niepamiętam, ażebym czytał gdzieś opis wewnętrznej walki przy przejściu od jednej filozofii do drugiej, chyba z wyjątkiem paru pisarzy skandynawskich i rosyjskich, którzy mają przed sobą jeszcze starodawne obrazy zdrowego stosunku człowieka do człowieka. Dla prostej przyczyny: człowiek nowoczesny, żyjący w hałaśliwym rozgardyaszu wszechfrymarczenia, pośpiechu, pogoni, za złotem, nie zna takich stanów wewnętrznych. Filozofia nie zrasta się z jaźnią, jak u mędrca wschodniego, ale jest tylko zewnętrznym pokostem, pod którym ukrywa się najrozmaitsze śmiecie. Oczekuje ona tylko podmuchu mody, ażeby dać miejsce innej, choćby wręcz odmiennej. Powstaje typ nowy: filozofującego blagiera. Życie wytwarza tę tandetę w coraz większej obfitości, stanowi zaś ona dzisiaj zasadniczy pierwiastek inteligencyi nowoczesnej. Zaiste, najwłaściwsze to uzupełnienie kamienic, które niekiedy walą się jeszcze przed swojem ukończeniem, i mebli, które są obliczone tylko na blichtr zewnętrzny, i powszechnej reklamy i frymarki uczuciami.

Filozofujący blagier jest z natury swojej mędrkiem, który o wszystkiem sąd posiada: chwyta on swojem uchem nawet wzrost trawy i przenika tajniki Niepoznawalnego. Zaczerpnął swoją wszechstronność ze źródeł podobnie męt-

nych. Plutokracya, która nadaje ton dzisiejszemu życiu, przyozdabia swoje salony w sposób osobliwy: dziś nabywa meble pewnego stylu, jutro—odmienne, do nich dokupi posążek lub obraz. Powstaje istny Pociejów stylów, który świadczy przewybornie o kieszeni właściciela, ale niezbyt pochlebnie o jego smaku. Filozofujący mędrek w podobny sposób gromadzi w swoim mózgu skarby wiedzy: tam coś zasłyszał, owdzie coś przeczytał. Książki w rodzaju filozofii Spencera są jego ulubioną strawą, bo bez mozołu pożera tam wszelkie rozumy, nie pytając o ich pożywność, tylko o etykietę. Z jednego dzieła popularnego dowiedział się o teoryi mgławic; zadowolony, nie zada sobie nawet pytania, jakiemi drogami myśl ludzka doszła do tej potężnej hypotezy. Artykuł w pewnem piśmie dał mu pojęcie o teoryi atomistycznej, inny — o ewolucyi świata organicznego. Z ulotnych broszur poznał kwestyę społeczną: znałem całe zastępy krytyków najrozmaitszego znaku, którzy zaczerpnęli swoją wiedzę tylko z takiego śpichlerzyka. Encyklopedye, ta najlichsza tandeta, jaka istnieje w zakresie produkcyi umysłowej, uzupełniają jego wykształcenie.

Takiemi są źródła, z których pije wiedzę „inteligencya,“ ów rzekomy mózg społeczny. Może nie było epoki, w którejby tyle rozprawiano o „wielkich duchach“ i tak mało ich czytano, w porównaniu z rozgłosem. Przed kilkunastu laty Darwin był na ustach wszystkich, później nastała moda na Spencera, po nim na ekonomię polityczną, filozofię nadczłowieczeństwa. Pewne imiona były w powszechnym obiegu, aż wyszły z użycia dla tej prostej przyczyny, dla jakiej moneta bywa wycofaną: starły się, tj. spowszedniały. Ale niewielu sięgnęło do prac wielbionych myślicieli. Czy nie dość, że o nich rozprawiano lub kupowano ich książki? W wiekach średnich ktoś, skoro przysięgał na Platona, znał go na pewno, choć nie zawsze może zrozumiał. Wielcy ludzie są dzisiaj po to, ażeby o nich mówiono w towarzystwie, okradano ich z paradoksów i zmieniano na monetę groszową podczas flirtu, obmawiano lub z ust do ust podawano ich słabostki. Trzeba urodzić się pajacem myśli, jakim jest Nordau, ażeby go czytano. Wraz z tem przechodzimy do jednego z niezdownych warunków dla każdego czytanego myśliciela, do stylu. W ciągu wieków całych nie wymagano od filozofów takiego przymiotu; zdaniem prostaczków, filozofia i zawiłość szły z sobą w parze. Nie przeszkadzało to jednak ludziom studyować Kanta i Hegla, dwu możnowładców myśli, w porównaniu z którymi Spencerzy i Nietzsche'wie są karłami. Styl — nie prosty i jasny, lecz błyskotliwy — zapanował dopiero wtedy, gdy na zegarze dziejowym nastała godzina filozoficznej blagi i gdy „mózg narodu“ zażądał lekkiej strawy. Myśliciel powinien podawać rzeszom blagierów dawki łatwe do przełknięcia: styl spełnia tę samą rolę, jak łakocie, któremi lekkomyślna matka karmi swojego krnąbrnego benjaminka, gdy mu za trudną wyda się nauka sylabizowania. Treść jest odpowiednia do pozłoty stylistycznej. Nietzsche może nam służyć za przewyborny dowód. Idee jego odznaczają się niewymowną jałowością i czczością, w całej jego filozofii nie ma ani jednej myśli, którejby nie wypowiedziano już — nieraz nawet w sposób paradoksalniejszy. Rozgłos, otaczający imię apostoła zasady: *hart sei!*, to wynik nie głębokości jego poglądów lecz błyskotliwości formy. Styl, z takiego punktu widzenia, jest zwiastunem dekadentyzmu. W pierwszem pokoleniu ukrywa on w sobie jeszcze treść jędrną, w drugiem—chowa się pod niem nędzota myśli.

Tak działa maszyna społeczna. Z pod jej trybów wychodzi odpowiedni produkt: istota wszystko wiedząca, o wszystkiem rozprawiająca. Mędrek to skończony, przewybornie nadający się do oleodruków, odlewów z gipsu lub tanich świecidełek, przyozdabiających salon mieszczański i nabywanych w różnych odstępach czasu, kwoli kaprysu.

L. Krzywicki.

PAMIĘTNIK.

Szczerze.

Hr. Tarnowski zamieścił w *Kuryerze warszawskim* artykuł pod tytułem: „Dystylarnie wobec monopolu.“ Autor poddaje kolejno rozbiorowi ważniejsze paragrafy projektu ugody między skarbem państwa i destylatorami, wykazując wiele punktów, grożących szkodą tym ostatnim a wymagających, według niego, odpowiedniej zmiany. Nie mamy nic przeciw temu, że ktoś broni swego interesu, ale pozwolimy sobie w obecnym wypadku podkreślić szczerość tej obrony, zwłaszcza że ona robi zamach na naszą skórę! Hr. T. bowiem powiada: „Cenę za oczyszczenie wódki nie płaci skarb, lecz konsument; skarb zaś nie trafiając w sprzedaży na żadną konkurencyę, wydane na rektyfikowanie pieniądze odbierze w cenie sprzedażnej wódki, którą oznaczać będzie według swojego uznania, a mając na oku ukrócenie pijaństwa, ustanowi ją wysoką. Wyrzekając się więc dobrowolnie i lekkomyślnie za naszą pracę zysku, nie działamy bynajmniej w interesie skarbu, ale *wyłącznie i jedynie w interesie konsumenta, który ostatecznie jeżeli chce pić, to niech płaci*. Cena, jaką, za przerektyfikowanie wódki zapłaciłby przyszło, jest i być powinna dla skarbu rzeczą obojętną (!); jakąkolwiekby ona była, skarb ją zawsze od konsumenta odbierze i odebrać musi. Nacisku w tym względzie czynić nie powinien, równałoby się to bowiem poprostu krzywdzeniu oczywistemu pracy na korzyść ludzi, zaopatrujących się ostatecznie w artykuł zbytkowy. Alkohol nigdzie na świecie za artykuł potrzeby, ale wszędzie za przedmiot zbytku bywa uważany i jako taki opodatkowany.“ Z trzech więc uczestników operacyi dla hr. T. najobrzydliwszym i najmniej zasługującym na uwzględnienie jest konsument, który powinien dawać, ile od niego zażądają. Autor czuje do niego taką odrazę i nienawiść, że na przekór spółczesnym pojęciom o zadaniach i obowiązkach państwa, usiłuje wmówić w skarb „obojętność“ na cenę, jaką spożywca musiałby płacić za wódkę. Wprawdzie temu skarbowi nie jest „obojętnem,“ ile ów spożywca płaci za bilet kolejowy, za przesyłkę towaru, za jazdę dorożką, za funt chleba itd., ale wódka powinna być wyjęta z pod opieki państwa, bo: 1) dystylatorowie muszą zarabiać, a 2) alkohol jest przedmiotem zbytku. Co do 1-go, to ponieważ każdy Icek, obdzierający chłopa, twierdzi także, że „on musi zarobić,“ więc nie możemy tej konieczności odmówić destylatorom. Co do 2-go zaś, to zdaje nam się, że w pojęciu „zbytku“ należałoby zrobić poprawkę i wyłączyć z niego przynajmniej te przedmioty, które należą do artykułów najbardziej spożywanych. Nic to nie pomoże, że my wódkę lub tytoń nazwiemy „zbytkiem,“ kiedy konsumcya tych produktów przewyższa konsumcyę mleka lub jabłek, które zaliczone są do pokarmów niezbędnych. A skoro tak jest, to „zarobki“ fabrykantów na przedmiocie wielkiego rozpowszechnienia muszą być umiarkowane przez państwo, obowiązane zabezpieczać ogół przeciw wyzyskowi jednostek. My, jako rzecznicy tego ogółu, jesteśmy bardzo wdzięczni hr. T., że kwestyę rozebrał z frazeologicznych osłonek i postawił na gruncie szczerości, bo uwolnił nas od dobierania się do jądra rzeczy i pozwolił nam na jego apetyt przemysłowy odpowiedzieć również szczerze.

Bal empire.

Bogate protektorki Towarzystwa opieki nad biednemi matkami, nie osiągnąwszy spodziewanego dochodu z rautu *białego*, zamierzają dopełnić brak balem, który ma się nazywać *empire*. Serce nam się kraje ze współczucia, gdy patrzymy na te szlachetne wysiłki pomysłowości. Bo ileż to potrzeba filantropijnej wyobraźni, ażeby wymyśleć owe nazwy: „biały,“ „empire,“ a może jeszcze trzeba będzie wynaleźć coś nowego — „Panama“ lub „Transvaal.“ Widok tej mozolnej pracy jest tem boleśniejszy, że ona nie wynika z żadnej istotnej potrzeby, lecz ze zbytniej skromności. Jak to zaznaczyliśmy dawniej, dać kilka tysięcy rubli z własnej kieszeni byłoby dla szanownych protektorek-milionerek nieważką drobiną, a jeżeli one dotąd nie poniosły tak maleńkiej ofiary, to widocznie się żenują i obawiają, ażeby ich nie posądzono o imponowanie społeczeństwu i odbieranie mu sposobności do poświęceń. Powinniśmy więc co prędzej uwolnić je od skrupułu głośnem zaręczeniem, że zrzekamy się zasługi na ich korzyść. Wówczas będą one przecie wolały dać ukochanemu przez siebie Towarzystwu zapomogę, niż dumać nad „białością“ i „empirością“ balów.

Omarowe zachcianki.

W Warszawie wystawiono obraz malarza węgierskiego, Csoka, pod tytułem: „Krwawa hrabina,“ przedstawiający okrutną scenę polewania wodą i zamrażania dziewcząt, karanych tym sposobem przez jedną z dawnych możnowładczyń. Niewątpliwie scena ta nie sprawia rozkosznego wrażenia, jak nie sprawiają go unaocznione realnie wszystkie grzechy i zbrodnie ludzkości. Tortury i stosy średniowieczne, gilotyny robiące z ludzkich ciał jatki itp. — wszystko to, przeniesione pędzlem na płótno, budzi zgrozę lub odrazę. Ale ponieważ uczucia te dla podtrzymania zdrowia moralnego są równie potrzebne, jak uczucia zachwytu i uznania; ponieważ nadto pewne dawne widoki odbijają się dotychczas swym ponurym cieniem w obecnej cywilizacyi, nie pojmujemy więc, dlaczego artysta nie miałby prawa i celu odtwarzania ich w sztuce, zwłaszcza że nikogo nie zmusza, ażeby jego dzieło oglądał. Tymczasem jakiś „Nie-artysta,“ wypowiedziawszy w liście do *Słowa* swoje oburzenie i zdziwienie, że ludzie przypatrują się chętnie obrazowi Csoka, dodaje:

„W tym tłumie jednegom napotkał człowieka. Jakiś szlachcic stary nie wytrzymał i mnąc nerwowo siwego wąsa, odezwał się głośno w te słowa:

— Jabym, panie, to *świństwo* kazał pociąć w kawałki.

Spojrzałem na niego z *wdzięcznością*, bo i jabym z przyjemnością uczynił to samo.“

Redakcya *Słowa* nazywa te uwagi „bardzo słusznemi“ — naraz więc spotkało się kilku Omarów, którym brakło tylko... władzy, a płótno Csoka byłoby „pocięte w kawałki.“ Okrutna tedy hrabina węgierska zrodziła okrutnych inkwizytorów polskich. Ciekawe jednak pytanie: gdyby oni dogodzili swej żądzy i gdyby w przyszłości jakiś malarz przedstawił realnie ową scenę „cięcia obrazu w kawałki“ przez literatów warszawskich, czy nasi potomkowie byliby również obowiązani oburzać się na niego za wybór tak „patologicznego“ przedmiotu? Nie wiem i dlatego, gdy kiedyś jeden z moich znajomych chciał „po-

ciąć w [illegible] numer *Słowa* za jakiś tam zamrażanie, wstrzymałem go:

— Nie rób tego, zaklinam cię na pokutującego [illegible] mara.

Drugi przypadek.

W przeszłym numerze Poseł Prawdy wspomniał o jednym z przypadków, jaki się wydarzył naszym konserwatystom, którzy nie nie wiedząc o zakazie cenzury watykańskiej czytania pism Dumasa, wyprawili mu uroczysty pogrzeb z rozdzieraniem szat. Ponieważ — według przysłowia—nieszczęście samo nie chodzi, więc ci dwupłciowce załamali się jednocześnie na cienkim lodzie swej zachowawczości po raz drugi. Jak wiadomo, używają oni również do swej ślizgawki łyżew antisemityzmu. Otóż gdy przed paru tygodniami rabin Serocka na czele deputacyi powitał biskupa Nowodworskiego, ten odpowiedział między innemi: „Wśród szeroko dziś rozlewającego się prądu nienawiści antisemickiej, wystąpieniem swojem stwierdzacie, iż wiecie, jak kościół chrześciański osłaniał zawsze Żydów przeciw zrywającym się od czasu do czasu na nich wybuchom nienawiści tłumów, niedość przejętych świętą nauką ewangielicznej miłości bliźniego. I przychodząc tu do mnie, do biskupa, faktem samym stwierdzacie, iż wiecie, że papież, biskupi, duchowieństwo nasze, jako nauczyciele powszechnej, bezwarunkowej i bezwyjątkowej miłości bliźniego, podnoszą zawsze głos w waszej obronie, gdy w świecie przeciw wam podnosi się burza nienawiści tłumów.“ Co tu począć wobec tak stanowczego potępienia? Czy schylić przed niem głowę, czy ją podjąć dumnie i przyznać się do „nienawiści tłumów“? Czy wdziać kożuch skórą, czy futrem na wierzch? *Hic salta, hic Rhodus!* Czcigodne mydłki nie chcą ani skakać, ani tonąć, więc z dwu złych ostateczności wybrały trzecią, wypróbowaną drogę: prześlizgnęły się zręcznie między swym antisemityzmem a ewangelicznym poglądem biskupa i dziś wzdychają po cichu:

— Chwała Bogu, że to już minęło! Ach jak ciężko być konserwatystą... warszawskim!

Co znaczy innemi słowy:

— Ach, jak to trudno zostać majorem, kiedy się było szewcem!

Sens moralny z tej prawdy jest taki: Przekonania, jak limfa ospy, przyjmują się tylko wtedy, kiedy są wszczepione w krew. Powierzchowne smarowanie się niemi nie zabezpiecza. Radzimy przeto wielu konserwatystom warszawskim, ażeby sobie sprowadzili rzetelną krowiankę, albo raczej surowicę z instytutu Chamborda lub Windthorsta i zastrzyknęli ją w swe ciałka porządnie. Inaczej ciągle chorowite będą na dyfteryt... socyalno-liberalno-zachowawczo-radykalny. Jest to choroba nie tyle niebezpieczna, ile paskudna.

W swoim domku.

Szczerze szanujemy zasadę: „Wolność Tomku w swoim domku,“ ale o ile Tomek nie robi w swym domku zbyt wielkich hałasów lub nie urządza sadzawki, z której woda przecieka do sąsiada. Stało się to zwyczajem i nałogiem *Kuryera warszawskiego*, że on dość często wyznacza sobie rozmaite dnie galowe dla upamiętnienia ważnych momentów swej wiekopomnej historyi i że wtedy bliżsi lub dalsi jego współpracownicy opowiadają swoje wspomnienia, utrwalające chwałę tego warszawskiego mocarstwa. Z wielokrotnych wykładów umiemy wyliczyć cały szereg jego władców, pamiętamy daty wstąpienia na urząd redakcyjny wszystkich, od hr. Kicińskiego do p. F. Olszewskiego, wiemy, co się stało za każdego panowania, a zwłaszcza dzieje najpotężniejszego z nich Wacława Wielkiego (Szymanowskiego) są nam stanowczo lepiej znane, niż dzieje Kazimierza, także zwanego Wielkim. Całkowita historya *Kuryera* będzie zawarta w osobnej, drukującej się „Księdze jubileuszowej,“ za którą redakcya pobiera rs. 3 i na którą otrzymała „wyjątkowe“ zapisy w prenumeracie. Zanim wszakże zaprosi nas do tej uczty królewskiej, podała nam przedtem zaostrzające apetyt *entrée* w postaci numeru noworocznego. Znajdują się w nim również wspomnienia. Najsmaczniejszą między niemi przekąską, rodzajem kawioru literackiego, jest artykulik p. J. Chodorowicza. Autor opowiadając, jak ogromnym rezerwoarem filtrowanych idei i ożywczych prądów dla całej Warszawy i reszty kraju był *Kuryer*, jak dobroczynny wpływ wywierał na skupioną około niego młodzież dyrektor tego zbiornika, W. Szymanowski, który raz nawet „ze zgrozą“ ofuknął go przed balem redakcyjnym za włożenie rękawiczek paljowych, zamiast białych — mówi: „*Kuryer* ówczesny był rodzajem jakiejś akademii (tak!), w której ścierały się i urabiały poglądy i zdania... Przedewszystkiem zaś dobro publiczne stanowiło tak *wyłączne* (no, no!) i powszechne hasło, że wobec niego ustępowały *wszelkie* (no, no!) dążności i cele osobiste.“

Na nieszczęście, my także coś pamiętamy z tej „akademii“ i z tej wyłącznej dbałości o dobro publiczne. Ale mniejsza o wspomnienia. Tu bowiem chcemy tylko zauważyć, że panegiryści *Kuryera* zbyt nieostrożnie robią niebezpieczny krok od wzniosłości do śmieszności, że z ich zapału zbyt wyłazi ukryty cel zaskarbienia sobie łask wpływowego organu opinii warszawskiej, że splecione liście wawrzynu zbyt szybko zamieniają się w ich rękach na liście bobkowe. Faktem jest tylko to, że *Kuryer warszawski* przez ostatnią ćwierć wieku był pismem najszerzej czytanem, a stąd w sprawach praktycznych najbardziej wpływowym, nigdy zaś nie był ani arką z tablicami przykazań społeczeństwa, ani akademią, ani organem jakichś przekonań, lecz szybko informowanym, zręcznym i dochodnym... *Kuryerem*. Każdo większe miasto ma taką akademię i takich mistrzów, tylko nie każde ma takich jej czcicieli.

W DALI.

Łódź. Ruch przemysłowy ogromnie się ożywił w ostatnich czasach. Wkrótce powstanie akcyjna fabryka machin, podobno z funduszów wychowańców politechniki ryskiej. Zapowiedziano także wiele innych fabryk w mieście i okolicach.—Obywatele Pabjanic radzą nad utworzeniem Towarzystwa dobroczynności, na wzór istniejącego w Piotrkowie. Jeden z zamożniejszych, p. Karol Ender, przeznacza na fundusz wieczysty 10,000 rs. Inne Towarzystwo dobroczynności powstanie w zagłębiu dąbrowskiem, dzięki zabiegom p. Harthingowej. Ustawę już opracował dr. Bukowiecki, radca prawny stowarzyszenia francusko włoskiego kopalń węgla. — Na miejsce p. Karpowa, inspektora wyższej szkoły rzemieślniczej, mianowano p. Siwołobowa.—W Piotrkowie zbankrutował Cohen, właściciel fabryki maszyn i narzędzi rolniczych. Pasywa wynoszą przeszło 200,000 i przewyższają kilka razy wartość zakładu.

Wilno. W sprawie oświaty ludowej *Wilenskij Wiestnik* [illegible] „W jednej z gmin gubernatorowi doniesiono, że pośród ludności utrzymuje się zdanie jakoby w szkole cierkiewno-ludowej dążono do przerobienia katolików na prawosławnych. P. gubernator z łatwością i bardzo jasno wykazał błędność tego mniemania, oświadczywszy że naukę religii prowadzi w tej szkole ksiądz katolicki, który nie może wykładać w duchu prawosławnym. Włościanie zgodzili się odrazu ze słusznością tego wyjaśnienia. Najlepszym wszakże środkiem zażegnania raz na zawsze pogłosek, czy opinij tego rodzaju, byłoby szczegółowe zapoznanie włościan ze sposobem wykładu w szkołach i postępami uczniów. Dążąc do tego, p. gubernator zalecił wzywanie od czasu do czasu rodziców uczniów do szkoły dla zobaczenia, jak się rzecz ma faktycznie.“—Pojawiły się w mieście fałszywe ruble srebrne. Podrobiona moneta nosi rok 1841 i jest sfabrykowana tak doskonale, że trudno ją odróżnić od prawdziwej. — Korespondent *Wieku* podaje ciekawe i chakterystyczne szczegóły o wyzyskiwaniu ludu miejscowego przez różnych oszustów udających agentów, pełnomocników, a nawet urzędników. Naładowali oni dobrze swe kieszenie, zanim ich spłoszono. Byli tam i agenci amerykańscy, ułatwiający włościanom wyjazd za Ocean, głównie zaś sprzedaż gruntu i dobytku; byli plenipotenci księżny Hohenlohe, sprzedający ziemię, jakiej kto sobie życzy, otwierający biura i księgi do zapisywamia nazwisk i żądań nabywców, biorący po kilka rubli za tę usługę; byli urzędnicy „z samego Petersburga,“ którzy obiecywali, naturalnie, za pewną ołatą, część ziemi obywatelskiej odebrać i wsiom sąsiednim rozdać, albo od rządu grunty bezpłatnie otrzymać, jeśli nie tu, to za Wołgą i Donem. Obecnie pojawił się nowy oszust, namawiający lud do emigracyi na Syberyę, albo do tych gubernii, które opustoszały wskutek cholery. „Włościanie, acz sami dobrze nie wiedzą, dokąd ich ciągną, z przejęciem mówią o „błyszczącym generale,“ który, pokazując analfabetom plany obiecanej ziemi, oraz skarbowe księgi i pieczęcie, budzi ufność i szacunek. Obietnice są nader ponętne i mogą skusić nawet zamożniejszych gospodarzy. „Generał“ ów bowiem głosi, że rząd oprócz kilkunastu dziesięcin ziemi, daje na zaprowadzenie gospodarstwa 100 rs., konie z uprzężą, nasiona i narzędzia rolnicze. Na miejsce przeznaczenia kolej skarbowa odwiezie emigrantów bezpłatnie a na koszty życia w drodze otrzymywać będą do 20—50 kop. dziennie. Należy tylko wcześnie w księgach się zapisać: podać prośbę, zapłacić kilkadziesiąt kopiejek za to, i rzecz skończona. Do „generała“ ciągną tłumy, a on pełną garścią zbiera kopiejki. Włościanie tracą czas i pieniądze na drogę, opuszczają zajęcie i zarobki, wracają rozmarzeni o przyszłej szczęśliwości i zaczynają wyprzedawać dobytek. Wielu już łatwowiernych wyzuło się tym sposobem z mienia swego. Wyzyskiwacze wiedzą dobrze, jaką ponętę u wędki uwiązać, aby obfity połów zapewnić. Przynętą jest ziemia, stanowiąca główną pożądliwość ludu naszego.“

Petersburg. Z powodu mianowania sekretarza stanu, Niekłudowa, na drugiego wice-prezesa ministeryum spraw wewnętrznych, *Birż. Wied.* piszą: „Jest to fakt równie nieoczekiwany jak i przyjemny. P. Niekludow należy do najzdolniejszych prawników. Był on w swoim czasie pierwszym prezesem zjazdu sędziów pokoju w Petersburgu i na stanowisku tem swą bezstronnością, wiedzą i gorącem zamiłowaniem zasadniczych podstaw jawnego, sprawiedliwego i wyrozumiałego serca, zaskarbił sobie ogólne poważanie daleko po za granicami stolicy. W ciągu długiego szeregu lat był starszym radcą prawnym ministeryum sprawiedliwości, a potem oberprokuratorem karnego departamentu kasacyjnego, zkąd przeszedł do kancelaryi państwowej i stanął na czele oddziału. Nowy minister spraw wewnętrznych jest sam prawnikiem, a najbliższym jego pomocnikiem został również prawnik. Z zbiegiem czasu nastręczają się ciągle nowe zadania, dla których potrzebni są nowi ludzie. Ministeryum spraw wewnętrznych, które rozrosło się silnie w ciągu ostatnich 35-iu lat, nie może i nie powinno ograniczać swej działalności do zadań ściśle tylko policyjnych. W ten lub inny sposób obejmuje ono wszystkie interesy ludności, wszystkich stanów i instytucyj. Dowodzi to, jaki wdzięczny grunt istnieje ku stosowaniu tych zapatrywań, które noszą miano „prawniczych,“ to jest opartych na sprawiedliwości.“

Dzień roboczy. Memoryał oddziału łódzkiego Towarzystwa przemysłu i handlu w sprawie unormowania dnia roboczego,

odbił się w ostatnich czasach dość szerokiem i wielokrotnem echem w opinii publicznej. Między innemi zajęło się tym przedmiotem Towarzystwo krzewienia rozwoju fabrycznego w Moskwie, które na wniosek sekcyi bawełnianej rozesłało kwestyonaryusz swym członkom: przemysłowcom, dyrektorom, lekarzom i inspektorom fabrycznym. Na to trzy odpowiedzi twierdzą, że myśl unormowania dnia, narzucona wogóle tendencyjnie, że jest to manewr ze strony fabrykantów łódzkich, którzy tę reformę użyliby za narzędzie dla zaszkodzenia swym współzawodnikom w guberniach środkowych. Większa atoli część zapytanych oświadczyła, że unormowanie dnia jest niezbędnem dla zdrowia robotników tudzież ich zajęcia rodzinnego; wielu zaś nawet utrzymuje, że środek taki leży przecież w interesie przemysłu, gdyż robotnik zyska czas na rozwój swej inteligencyi, że praca jego stanie się o wiele produkcyjniejszą. Największa liczba odpowiadających żąda dnia jedenastogodzinnego. Za unormowaniem przez samych fabrykantów głosuje trzech zapytanych. Przeważnie sądzą, że reforma ta nie dałaby się przeprowadzić bez wyraźnych przepisów rządowych. Sprawę powyższą rozpatrywało także moskiewskie Towarzystwo ochrony zdrowia publicznego. Wreszcie główne Towarzystwo popierania przemysłu i handlu w Petersburgu na posiedzeniu listopadowem roztrząsało szczegółowo memoryał łódzki, którego treść zasadniczą podajemy: 1) Nocna praca od 10-ej wieczorem do 4-ej rano powinna być wzbroniona we wszystkich zakładach przemysłowych, z wyjątkiem tych, które ze względu na charakter swej produkcyi muszą koniecznie prowadzić robotę bez żadnych przerw (cukrownie, gorzelnie, browary, huty szklane, fabryki gazu itp.). 2) *Maximum* dnia roboczego między 4-tą rano a 10-tą wieczorem powinno wynosić dla jednej zmiany pracowników: *a)* w kopalniach i wogóle w podziemiach, gdzie brak promieni słonecznych — 10 godzin na dobę; *b)* w przemyśle metalowym, fabrykach wyrabiających machiny itp. — 11 godzin; *c)* we wszelkich innych zakładach przemysłowych — 12 godzin, z obowiązkową przerwą, przynajmniej jednogodzinną na obiad. 3) W tych fabrykach, których właściciele chcieliby prowadzić roboty więcej niż 12 godzin dziennie o dwu zmianach robotniczych, pomimo że zakłady owe ze swego charakteru nie wymagają czynności nieprzerwanej — praca każdej zmiany nie może trwać dłużej, niż 9 godzin na dobę między 4-tą rano a 10-tą wieczorem. Jeżeliby po upływie pięciu lat od chwili wprowadzenia tych przepisów okazały się rezultaty dodatnie, to byłoby pożądane skrócenie dnia roboczego jeszcze o godzinę dla wszystkich kategoryj zakładów (wskazanych wyżej pod lit. *a*, *b* i *c*), a ograniczenie nocnej pracy należałoby zastosować w czasie między 9-tą wieczorem a 5-tą rano.

Zapatrywania na memoryał śród członków głównego Towarzystwa były różne i skutkiem tego zarząd postanowił zebrać możliwie najwięcej materyału faktycznego kraju i za granicą, tudzież przejrzeć obce prawodawstwa i z tym zasobem danych przystąpić znowu do rozpatrzenia projektu na jednem z najbliższych posiedzeń.

Do owych materyałów faktycznych można zaliczyć skrócenie dnia roboczego w czynie. Niedawno dyrektor kopalni, należącej do ks. Paskiewicza w Homlu, przesłał Towarzystwu przem. i handlu w Petersburgu rezultaty prób, które streszczamy przedmiotowo, według sprawozdania *Grażdanina*: Latem r. 1893 w fabryce owej wprowadzono 8 godzin pracy nocnej i 9 dziennej. Dzięki temu, robotnicy użyli czas wolny bądź na uprawę swych działów gruntowych, bądź inne zajęcia, związane z rolnictwem. Nawet bezrolni starali się o pracę przy pługu i kosie. Szynki w okolicy zaczęto stopniowo zamykać, a natomiast pozakładano herbaciarnie lub sklepy do sprzedaży trunków. Pewna grupa robotników utworzyła orkiestrę własną na instrumentach dętych, a jej koncerty cieszą się wielkiem powodzeniem. Wogóle poziom moralny podniósł się bardzo szybko.



Z WYCIECZKI.

I.

Powszechna (w obrębie państwa) wystawa rolnicza—to cały obraz dzisiejszego stanu tej gałęzi produkcyi, na której jest oparte istnienie milionów ludności; to scharakteryzowanie techniki, stopniów rozwoju gospodarki w najróżnorodniejszych warunkach geograficznych, ekonomicznych i kulturalnych. Na przestrzeni dwudziestu dwu milionów kilometrów kwadratowych rozsiadł się olbrzymi kalejdoskop pracy, skupił w swych kształtach nieprzebranych niemal wszystko, co daje na kuli ziemskiej gleba zorana i użyźniona i jednocześnie odtworzył w chwili dzisiejszej długoletnie dzieje kultury nie zamarłe, nie przekazane potomności ustnie lub piśmiennie, lecz żywe we wszystkich naraz fazach: od koczownictwa i pasterstwa (w stepach) do sochy drewnianej, namiotu, chaty kurnej, sierpa, samodziału, zaopatrującego w odzież całe rodziny, chodaków plecionych z kory lipowej, do maszyn udoskonalonych, lokomobil, motorów, poruszanych elektrycznością i do bogatych cieplarni, dających piękne owoce południowe w klimacie surowym; do murowanych owczarni, budowli folwarcznych, stajni i obór zarodowych, do produkcyi wełny, zasilającej wielki przemysł materyałem surowym; do fabryk nawozów sztucznych, pracowni chemicznych i mikroskopowych, stacyj i pól doświadczalnych, meteorologicznych, wreszcie całych warsztatów pracy teoretyczno-naukowej.

Wyobrażałem, że wystawa powszechna będzie właśnie taką kliszą, która skupi na sobie zmniejszony lecz dokładny obraz tego kolosu-rolnictwa, że tam się znajdą i żywe dzieje, i chwila obecna; cały organizm w przekroju, wykazującym wszystkie warstwy kultury, krążenie soków produkcyi i wymiany; że stamtąd będzie można czerpać pouczające, pożyteczne wskazówki o potrzebach dalekich rynków, o drogach i sposobach zaopatrzenia miejscowości, stojących na niższym poziomie rozwoju w wytwory obszarów, obdarzonych wysoką kulturą i wreszcie — że przedstawiciele gospodarki, dążącej do ciągłej doskonałości, znajdą tam pożyteczne dla siebie celowe lub przypadkowe wyniki badań, hodowli, techniki, sposoby poszukiwań i doświadczeń, że pochwycą nić, która pozwoli im zawiązać stosunki z różnemi stronami dla wzajemnego wypełniania braków gospodarstwa i otworzenia upustu jego owocom; że w końcu znajdą się wzory metod i organizacyj, godnych przyswojenia.

Z takiem pojęciem o powszechnej wystawie rolniczej jechałem do Moskwy. Już po drodze nasunęły się szczególne wątpliwości. W Mińsku gubernialnym Towarz. rolnicze objaśniło mię, że nic nie wie o stanowczym terminie, a na miejscu skromna kartka obwieściła dzień otwarcia, gdy pisma milczały do ostatniej godziny. Jak gdyby po długiem zaspaniu, komitet zerwał się z łoża i zbudował wystawę po amerykańsku: w ciągu trzech dni, dzięki setkom rąk i oświetleniu elektrycznemu. Podziwiałem tedy najpierw wystawę natężenia pracy ludzkiej, która potrafiła wznosić i napełniać kioski tak szybko, jak się buduje domy i altany z dekoracyj na scenie.

Udział wzięło zaledwie kilkuset eksponentów z różnych stron państwa. Tym sposobem zamiast powszechnej, stworzyła się wystawa ze skrawków rolnictwa, przypadkowo zebranych. Towarzystwo rolnicze w Moskwie na pamiątkę 75-letniego istnienia usiłowało na wielką skalę urządzić ten ogólny przegląd gospodarki. Należało atoli wziąć się do tego wcześnie, pootwierać komitety pośredniczące we wszystkich ogniskach wybitniejszych i ogarnąć nietylko chwilę obecną, ale i 75-letnie dzieje kultury.

Bądź co bądź wystawa, nawet złożona z owych skrawków, jest nadzwyczaj ciekawa i bogata, szczególnie w dziale, skupiającym owoce poszukiwań i doświadczeń naukowych. Uniwersytet miejscowy urządził całe laboratoryum dla użytku rolnictwa, wykazał różne sposoby analizy gleby, między innemi za pomocą przyrządu, działającego wprost mechanicznie, a przytem wielce dokładnie. W dziale botaniki znaleźliśmy szeregi stołów, pokrytych zielnikami, nieocenionymi dla ziemian. Są tam doskonale zasuszone rośliny, pożyteczne lub szkodliwe dla zwierząt domowych. Każdy człowiek inteligentny i uważny, mający do czynienia z naturą, łatwo z takiego podręcznika mógłby czerpać wskazówki. Dalej widzę mapy geologiczne gub. Lubelskiej, wystawione przez prof. Trejdosiewicza z Warszawy, następnie wielce ciekawy dział meteorologiczny, urządzony przez p. Kołomijcowa, profesora fizyki i meteorologii Instytu rolniczo-leśnego w Nowej Aleksandryi. W kartogramach, sprawozdaniach, wykazach statystycznych itd. mieści się tam cały obraz działalności meteorologicznej. Dzięki nieustannym zabiegom i pracy p. Kłosowskiego, profesora uniwersytetu w Odesie, dziś już istnieje wzorowa sieć meteorologiczno - rolnicza „południowo - zachodnia w Besarabii, Krymie, gub. Charkowskiej, Podolskiej, Wołyńskiej, Połtawskiej i Ekaterynosławskiej. Z tą siecią łączy się „naddnieprzańska," urządzona przez p. Brounowa, prof. uniwersytetu w Kijowie i obejmująca gubernie: Kijowską, Czernihowską, Połtawską, Charkowską, Kurską, Orłowską, Kałuską, Smoleńską, Mohylowską, w części zaś Mińską i Grodzieńską. W czerwcu r. 1894 p. Kołomijcow urządził trzecią, „zachodnią," obejmującą Królestwo Polskie, tudzież część gubernij: Wołyńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Wileńskiej, Kowieńskiej, Kurlandzkiej, Liflandzkiej. Obecnie sieć ta liczy już 1.331 korespondentów, których zjednanie ułatwia kwestyonaryusz dobrze ułożony, drukowany, oraz możność posyłania takiej korespondencyi bez marek pocztowych. Do najważniejszych rubryk należą: stan posiewów i traw, jakość ziarna, widoki urodzajów, głębokość zamarzania gleby, szczegóły, dotyczące szkodników zwierzęcych, tudzież dane wyłącznie z zakresu atmosferycznego. Z dotychczasowej działalności i szybkiego rozwoju sieci meteorologicznych można wróżyć powodzenie tym badaniom, których rola nie jest u nas jeszcze dostatecznie oceniona.

Wogóle trzeba przyznać, że wystawcy wielu działów dali obfite owoce pracy teoretycznej tudzież wysnutej z badań i praktyki; kartogramy, diagramy, tablice graficzne, mapy wypukłe, pięknie i starannie wykonane, ułatwiają przyjrzenie się i za-

pamiętanie wyników pracy w zakresie racyonalnego rolnictwa i dziedzin, ściśle z niem związanych.

To samo widzimy w dziale osuszenia bagnisk i robót hydraulicznych, który obejmuje rezultaty długoletniej pracy, dokonanej pod kierunkiem inż. gen. Żylińskiego. Celem tych trudów było z jednej strony usunięcie nadmiaru wilgoci, z drugiej dostarczenie jej gruntom suchym. Oba te zadania wykonały dwie ekspedycye: zachodnia dla osuszenia błot i wschodnia—dla zaopatrzenia w wodę gubernii południowych i Kaukazu. Pierwsza objęła głównie Polesie nadto gubernie środkowe: Razańską, Włodzimierską, Moskiewską i Twerską, wreszcie okolicę Batumu. Wyniki były nadspodziewanie świetne. Bagna poleskie, wstrzymujące rozwój wszelkiej kultury, dały przepyszne bogate łąki (75% tych obszarów), nadto wyborny grunt na ogrody dla włościan, wreszcie około 25% ulega naturalnemu zalesieniu. Powoli znikają karłowate, liche zarośla, sosenki mchem pokryte, a natomiast wyrastają zdrowe normalne drzewa—zarodki przyszłych lasów.

Rezultaty osuszenia błot poleskich miałem nieraz sposobność oglądać z blizka osobiście. Dane zaś z gubernii środkowej obejrzałem na wystawie. Oprócz map i sprawozdań, było tam 85 przecięć drzew w 19-tu grupach dla wykazania wpływu mniejszej lub większej wilgoci. Szybki przyrost jest widoczny natychmiast po osuszeniu nizin bagnistych. Z przecięć np. starej sosny widzimy, że przyrost jej w ciągu lat 14 zwiększał się olbrzymio: 38% rocznie pod działaniem dwu czynników: kanalizacyi a następnie przerzedzenia karłowacizny skutkiem zmniejszenia wilgoci. Inna grupa przedstawia przecięcia sosny, której przyrost wynoszący, 13,6% rocznie, zwiększył się pod wpływem jeszcze innego czynnika (w związku z poprzednimi): ognia. Fakty te dowodzą, że stopniowe wyrąbywanie lasów dojrzałych tudzież pożary na błotach skanalizowanych są świetnymi środkami zwiększenia normalnej siły wzrostu drzewa.

Diagramy i tablice służą jako uzupełnienia powyższych próbek i przedstawiają nadzwyczaj bogaty materyał. Można w nim szczegółowo badać wpływy osuszenia, działające odmiennie na różnych nawarstwieniach i gatunkach gruntu, poziomach i t. d. Z tablic wywieszonych w tym dziale widzimy, że przy mniej lub więcej normalnych warunkach sosna pod wpływem kanalizacyi przyrasta w stosunku 7, 5%—13,8%, przeciętnie 10%; jodła—7, 3%—11, 5%, przeciętnie 9%; brzoza 4%. Przy warunkach wyjątkowych przyrost sosny wynosi 27, 7%—63, 7%, średnio 40% Wszystkie te dane prowadzą do następujących wniosków: błota osuszone można łatwo zamienić na lasy, ale tylko w takim razie, jeżeli podszycie mchowe będzie zupełnie wypalone. Kanalizacya wywiera widoczny i wielki wpływ na zwiększenie wzrostu gatunków drzew istniejących, jeżeli przed tem przyczyną złego był nadmiar wilgoci. Przy wszelkich innych warunkach kanalizacya działa bardziej na drzewa iglaste, niż liściaste, więcej na młode niż stare, wreszcie widoczniej na gatunki rzadko w małych ilościach rozsiane, niż na przeważające w pewnych obszarach leśnych. Gęstość i głębokość kanałów zależy od celu, w jakim je przeprowadzono: na osuszenie błota dla stworzenia łąk, lasów lub pól ornych i ogrodów. Wogóle tego rodzaju roboty stanowią dział gospodarki, mającej olbrzymią przyszłość kulturalną przed sobą.

Kilka wybitniejszych ziemstw wystawiło owoce swojej gospodarki, pracy organizacyjnej i sprawozdawczej. Nietylko gubernialne, ale nawet powiatowe posiadają swoje roczniki poważne, obszerne wydawnictwa, zawierające obok wykazów statystycznych owoce badań, prób i doświadczeń, prowadzonych stale i systematycznie nad glebą, lasem, roślinami i ich właściwościami. Są to studya rzetelne, mające znaczenie ogólne dla rolnictwa. Z danych statystycznych godne są uwagi np. kartogramy, wykazujące rozpowszechnienie pługów tudzież posiewu traw śród włościan. Sama metoda współdziałania i pomocy organizacyi ziemskiej w tej mierze również zasługuje na uwagę, ze względu, że przedstawia sumę doświadczenia, którą złożoną już z oddzielnych pozycyj praktyki, można wziąć za punkt wyjścia w innych miejscowościach przy naprawie gospodarki drobnej.

Tak np. ziemstwo moskiewskie przedewszystkiem zbadało warunki rolnictwa chłopskiego i na podstawie tych poszukiwań przyszło do przekonania, że należy ludność obeznać z uprawą traw, stworzyć prawidłową organizacyę i ułatwiać nabywanie nasion. W tym celu powierzono jednemu ze zdolniejszych specyalistów opracowanie broszury przystępnej o zasiewaniu traw, która w krótkim czasie doczekała się czterech wydań (ostatnie w liczbie 6,000 egzemplarzy). Następnie stworzono cały ster tej gospodarki, czuwający nad prawidłową zmianą pól, uprawą i zbiorem itd. Ziemstwo bezpośrednio dostarcza włościanom nasion w najlepszych gatunkach, oczywiście znacznie taniej, niż za pośrednictwem handlarzów i wszelkich aferzystów. Ale najważniejszym jest ten warunek, że lud otrzymuje nasiona na kredyt roczny albo półtoraroczny, tj. uiszcza się z długu po pierwszym zbiorze koniczyny, gdy się już ujawnią korzystne warunki uprawy. Skutki takiej pomocy są widoczne; bo gdy r. 1892 prawidłową uprawą traw zajmowały się tylko dwie wsie, w roku przeszłym było już 52, a w bieżącym cyfra urośnie do 102. Tym sposobem w ciągu pięciu lat liczba wsi, uprawiających nową gałąź gospodarki, wzrosła 50 razy, przyczem jeden rok 1896 da prawie takie plony, jakie dały razem cztery lata poprzednie. Przy urodzaju 200 pudów z dziesięciny (w rzeczywistości bywa więcej), włościanie powyższych wsi mają rocznie 852,000 pudów koniczyny, która pozwala im utrzymywać bydła więcej, niż dawniej o 10,650 sztuk. Z zestawienia danych okazuje się, że w tych miejscowościach, gdzie kwitnie racyonalna uprawa traw, ilość ziemi ornej, bydła i pługów jest znacznie większa, niż tam, gdzie jeszcze nie wprowadzono tej gospodarki. Nadto śród pierwszych daje się spostrzegać mniejszy procent włościan zadłużonych i nieposiadających koni.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na kolei Wiedeńskiej tworzy się druga kasa pogrzebowa pracowników wydziału mechanicznego. Każdy uczestnik jednorazowo składa rs. 1, z czego zebrany w kasie oszczędnościowej fundusz wypłacony będzie rodzinie po zmarłym uczestniku, poczem następuje druga składka rublowa. Gdy członek zmarły nie posiada rodziny, pogrzebem zajmują się delegaci kasy.

— W Bydgoszczy otwarto przytulisko dla ociemniałych.

— Liczba wychodźców-żydów, przybyłych z Rosyi do Argentyny od 1 stycznia 1895 r. do 30 października, wynosi 18,000. Z tego 59% pochodzi z gubernij zachodnich, 31% z Królestwa Polskiego i 10% z innych [illegible]

— W Filadelfii wybuchła zmowa służby tramwajowej. Kobiety niszczyły szyny i wagony.

— Inspekcya fabryczna zawiadamia, iż fabrykanci nie mają prawa zatrzymywać zarobku za źle zrobione papierosy, a kary powinny być zapisywane do książeczek rachunkowych i oddzielnych ksiąg sznurowych, z wykazaniem powodów grzywny. Pieniądze, ściągane od robotnic, powinny być używane wyłącznie na ich potrzeby. Strat, pochodzących z uszkodzenia materyałów, fabrykanci muszą poszukiwać wyłącznie w drodze sądowej.

Wysyłanie administracyjne. *Praw. Wiest.* ogłosił rozporządzenie o niektórych zmianach w zakresie wysyłania administracyjnego, wprowadzonych sposobem próby. Propozycye general-gubernatorów, gubernatorów i naczelników miast co do zabronienia pobytu w podwładnych im miejscowościach osobom, uznanym za szkodliwe dla spokoju publicznego, winny być [illegible]zone w wykonanie tylko po uprzedniem rozpatrzeniu i zatwierdzeniu projektowanego przepisu spo-[illegible] wskazanym w art. 33—35 ust. o środkach ochronnych porządku państwowego i spokoju publicznego. Przy roztrząsaniu skarg na postanowienia general-gubernatorów, gubernatorów i naczelników miast, należy brać pod uwagę dane, które posłużyły do zastosowania kary, a dotyczą nieprawomyślności politycznej osoby wydalanej lub niebezpieczeństwa jej postępowania dla porządku publicznego. P. ministrowi spraw wewnętrznych zalecono niezwłocznie przystąpić do rewizyi obowiązujących postanowień o wydaleniu administracyjnem, nadto wziąć pod uwagę możliwe zmiany i uzupełnienia.

Szkoły. Pisma głoszą o skasowaniu na stałe egzaminów przejściowych w szkołach średnich. Uczniowie promowani będą na zasadzie stopni rocznych, egzaminom zaś podlegać mają tylko ci, którzy niezadowalająco kończą kurs roczny.

— Ministeryum oświaty zniosło obowiązkowe wycieczki letnie studentów pierwszego kursu Instytutu agronomiczno-leśnego w Nowej-Aleksandryi, z tym warunkiem, aby podczas wakacyj gromadzono zbiory. Posłużą one za materyał do zbogacenia kolekcyi zakładu naukowego tudzież do zajęć praktycznych kształcącej się w nim młodzieży.

— W Finlandyi postanowiono stworzyć komisyę specyalną, która czuwać będzie nad wykładem języka rosyjskiego w W. Księztwie.

Konkurs. Komisya oddziału budynków i dachów ogniotrwałych na wystawie w Niższym Nowogrodzie ogłosiła konkurs na podręcznik ludowy. Tematy do wyboru następujące: 1) o budowie domów ogniotrwałych; 2) o urządzaniu dachów ogniotrwałych; 3) o budowie pieców i kominów w chatach wiejskich. Nagrody 300 i 200 rs. Termin nadsyłania prac 19 marca r. b.

Koleje i komunikacye. Na studya w celu przeprowadzenia kanału, łączącego Narew z Wisłą od Zegrza do Warszawy, skarb wyznaczył 6,000 rs. Niezależnie od tego ministeryum komunikacyi ureguluje Czarną Przemszę. Na studya przygotowawcze udzielono rs. 7,000.

— Otwarto ruch na nowej linii Charkowsko-Bołaczowskiej.

— Otwarto ruch osobowy i towarowy na nowej odnodze kolei Moskiewsko-Kazańskiej, od stacyi Rozajówka do Penzy.

— Letni rozkład pociągów wprowadzony będzie r. b. z dniem 1 maja n. s.

— Dochód przypuszczalny kolei skarbowych w r. b. wyniesie 40 milionów rs.

— *Now. Wr.* donosi, iż ministeryum komunikacyi postanowiło przedsięwziąć budowę kanału Windawsko-Niemeńskiego. Był on rozpoczęty r. 1825, ale wypadki r. 1831 powstrzymały roboty. R. 1835 na nowo je podjęto, lecz wkrótce zawieszono z braku funduszów, a poniekąd i dla względów politycznych.

Wystawy i zjazdy. W Gnieźnie urządzona będzie w kwietniu wystawa przedmiotów domowych, gospodarczych, oraz produktów spożywczych ludowych.

— We Lwowie odbył się zjazd drukarzy galicyjskich. Uchwalono stworzenie związku. Narady z zecerami nie dały żadnych owoców.

Zmarli. Robert Frere-Orban, w Brukseli, mąż stanu, przywódca partyi liberalnej. Wydał dzieło p. t. „Poddaństwo i miłosierdzie.“ Wprowadził w Belgii wiele reform ekonomicznych i finansowych; ufortyfikował Antwerpię.

— Emil Montegut, znany literat francuski, w Paryżu, współpracownik *Revue des deux Mondes.*

— Fryderyk Henryk de Haas, w New-Yorku, znakomity [illegible] Ameryce malarz widoków morskich.

— Józef Swieszewski, w Warszawie. Brał niegdyś udział w „Rocznikach gospodarstwa krajowego,“ zasilał niektóre pisma swojemi pracami.

Nauczycielka muzyki, za której wyjątkową umiejętność uczenia redakcya *Prawdy* poręcza, poszukuje lekcyi. Bliższych objaśnień udzieli administracya.

Staraniem **Spółki Nakładowej** *wyszedł z druku:*

ZARYS

NAJNOWSZEJ LITERATURY POLSKIEJ

(1864—1894)

Dra Piotra Chmielowskiego.

Str. XX i 484.

Cena rs. **2** kop. **50**, z przesyłką rs. **2** k. **80**.

Nakładem naszym wyszła

Historya filozofii nowożytnej

prof. R. Falkenberga,

w przekładzie W. M. Kozłowskiego.

Dzieło to, obejmujące 667 stronic druku, kosztuje tylko: w Warszawie rs. 2 kop. 40 a z przesyłką pocztową rs. 2 k. 75.

OGŁOSZENIA.

Bezpłatny dodatek „Prawdy“

Zasady Fizyologii

Huxleya—Rosenthala,

wyszedł w osobnej książce i jest do nabycia za cenę rs. 2, z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 15.

GAZETA POLSKA

największy dziennik polski.

wychodzi w Warszawie

przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

Drukuje od Marca wielką, z czasów Nerona. powieść

HENRYKA SIENKIEWICZA

pod tytułem:

QUO VADIS.

Jest to epopeja apostolstwa chrześciańskiego, wspaniały wizerunek narodzin nowej wiary w łonie starzejącego się rzymskiego cesarstwa.

Nowi abonenci „Gazety Polskiej,“ którzy ją zaprenumerują (najmniej na kwartał) od Nowego Roku, otrzymają, **jako premium nadzwyczajne**, wszystkie początkowe fejletony „QUO VADIS“ **BEZPŁATNIE**, za nadesłaniem jedynie 50 kop. w markach pocztowych na koszta ekspedycyi. Tę kwotę obowiązani są składać także i nowi abonenci miejscy w Warszawie. Nadmieniamy, że jest to ostatni kwartał, w którym nowi abonenci mogą dostawać początek „QUO VADIS.“

Obfitość i szybkość informacyj jest cechą *Gazety Polskiej*, która stara się o jak największą ilość **depesz**, drukuje stale **korespondencye** ze wszystkich **stolic** europejskich i z przeważnej liczby **miast** krajowych. *Artykuły Gazety Polskiej polityczne, społeczne, naukowe, literackie, artystyczne*, wyróżniają się ze względu na swą liczbę, dobór i urozmaicenie.

Prócz tego daje *Gazeta Polska* swoim abonentom **bezpłatne dodatki powieściowe**, których w roku ubiegłym otrzymali *cztery tomy*. W *Dodatkach* tych znajduje czytelnik najwybitniejsze nowe utwory literatury europejskiej.

Sprawozdania handlowe *Gazety Polskiej* odznaczają się obfitością i dokładnością danych. Szczególną uwagę zwraca przytem *Gazeta Polska* na **ceny produktów rolnych**, które podaje systematycznie zarówno z rynków krajowych, jak zagranicznych.

Prenumerata miejscowa wynosi: rocznie rs. 9,60, półrocznie 4,80, kwartalnie rs. 2,40, miesięcznie kop. 80, z odnoszeniem do domu, ***zamiejscowa***: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.

Adres „Gazety Polskiej“: Warszawa, Warecka Nr. 14.

Agentura „Gaz. Pols.“ w Łodzi: przy Księgarni R. Schatke'go, ul. Piotrkowska.

Zaleca się umieszczanie **ogłoszeń w Gazecie Polskiej** ze względu na jej poczytność.

Staraniem **Spółki Nakładowej** wyszedł z druku:

Henryka Heinego

WYBÓR PISM

tom III-ci i zawiera:

Księgę Le Grand oraz Noce florenckie,

w przekładzie

Maryi Konopnickiej.

Cena rubel **jeden**, na przesyłkę kop. 15.

Spółka Nakładowa

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. **Szkoła** romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześciu portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. 1, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

A. Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, **Żórawia 34.**

Do nabycia w Administracyi „Prawdy“:

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI

(ilustrowana).

Cena zniżona: rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI

z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 29 Декабря 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.